DUNAJEC
TYGODNIK PZPR

Nr 22 (33) ROK II Nowy Sącz, 31 maja 1981 Cena 4 zł

ADAM OGORZAŁEK

WITAMY, CZYM CHATA BOGATA...

W czas gęsty od wydarzeń rozpoczyna się dzisiaj w Nowym Sączu ogólnopolski Kongres Regionalnych Towarzystw Kulturalnych. Życzymy znakomitym gościom owocnych obrad i równocześnie oddajemy im do rąk specjalny numer naszego tygodnika. Mamy nadzieję, że również stali czytelnicy z zainteresowaniem przyjmą reportaż Zofii Nałkowskiej, wybitnej pisarki, która w swych wędrówkach po Polsce międzywojennej trafiła w roku 1935 do Nowego Sącza; że zamyślą się nad refleksją Antoniego Kroha, który kreśli panoramę współczesnej kultury regionu; że nie odrzucą okruchów prawdy o krainie bogatej w piękno i talenty, które wybrałem ze swojej pracy złożonej przed dwoma laty w Krajowej Agencji Wydawniczej.

Od kilku tygodni prezentujemy na łamach „Dunajca" dorobek wyjątkowo licznych w województwie nowosądeckim stowarzyszeń kulturalnych. Pisaliśmy już o pięknych kartach historii Związku Podhalan, o Towarzystwie Miłośników Starego Sącza, o warszawskim Klubie Przyjaciół Regionów Nowosądecczyzny, o stowarzyszeniu Twórców Ludowych. Dzisiaj ciąg dalszy tej wędrówki wśród ludzi działających z potrzeby serca i wśród stowarzyszeń wzbogacających od lat nasz krajobraz społeczny i kulturowy.

(CIĄG DALSZY NA STR. 7—9)

Zofia Nałkowska

Z cyklu „POLSKIE DROGI"

Między Dunajcem i Kamienicą

Jadąc do Krynicy, po drodze zatrzymałam się w Nowym Sączu. Pamiętałam z dawnej lektury rolę tego warownego kiedyś grodu na szlaku tzw. odwiecznym, przebitym przez góry z południa wzdłuż dolin Popradu i Dunajca ku północy. Jeszcze szkołą pachnące, niezbyt zrozumiałe królewskie dzieje, związane z niemniej dziwnemi sprawami tronów czeskiego i węgierskiego, dźwięk egzotyczny imienia Kingi i przekraczająca dziecinne wyobrażenie jej niecodzienna biografia. Znacznie później — w wielu małych tomach Szajnochy — snująca się temi okolicami Jadwiga, dwukrotnie wyczekujący tu na nią „panowie", żywo w tych stronach działająca babcia Elżbieta, Jagiełło tutaj z Witoldem układający przeciwkrzyżackie plany. Jeszcze później Długosz i niejasne jego pedagogiczne sprawki z królewiczami, zbuntowany przeciw papieżowi Kallimach. Wreszcie Romanowskiego „Dziewczę z Sącza", ratujące miasto od Szwedów i okropna melodia piosenki, uporczywie oznajmiającej, że „Jaśko ze Sącza powraca i gra" — to były elementy skojarzeń, budzonych zwykle tym dźwiękiem: Nowy Sącz.

Zatrzymałam się na krótko i utknąwszy, przebyłam blisko dwa tygodnie. Tem bowiem, czego nie przewidziałam była niezwykła uroda tego miejsca, zgęszczony aromat starzyzny, urzekająca senność istnienia, zagnieżdżonego w zielonej naturze, nad dziką wodą — w ramach zbyt luksusowych, zbyt wspaniałych na to co jest.

Miasto, zbudowane na wzniesieniu pośród rozległej doliny, ma plan bardzo przejrzysty. Wzgórze leży, jak długi, warujący pies, między dwiema rzekami — z łbem przy ziemi, z łapami przy nosie. Nos sięga najdalej ku północy i wypada w miejscu, gdzie do Dunajca uchodzi Kamienica.

Na łbie — cokolwiek jakby niżej, niż całe miasto i dlatego od strony śródmieścia niedość widoczny — ściśle w „widłach" obu rzek stoi zamek królewski. Obronność grodu zdawałaby się więc raczej skierowana przeciw północy. W istocie przecież było inaczej. Zamek czuwał tu nad przeprawą przez Dunajec — w miejscu gdzie dziś przechodzi ponad rzeką długi, daleko w oba niskie brzegi sięgający żelazny most.

Od zamku wzdłuż grzbietu owego jak gdyby psa, w stronę południową ciągnie się miasto i główna jego, bardzo długa ulica Jagiellońska, gnąca się w miękkich załomach wedle konfiguracji wzgórza. Zbocza strome, pocięte przez przecznice, zielone od ogrodów, spadają niemal symetrycznie ku dolinom obu rzek — na wschód ku Kamienicy, na zachód do Dunajca. Wyloty przecznic, odchodzących w dół od ulicy Jagiellońskiej, wszędzie prawie otwierają się na rozległą górską panoramę Podkarpacia. Cały widnokrąg zamknięty jest obręczą gór oddalonych, na przemian granatowych i niebieskich. Bliższe wzgórza, owinięte półokrągło słomianemi smugami pól, przewiązane zielonemi miedzami, zachodzą na przemian za siebie, zaplatają się coraz bliżej — na sposób i podobieństwo warkocza.

Na ogonie psa — puszystym, płasko odrzuconym nieco na prawo — na końcu miasta, przeciwległym do zamku,leży dworzec kolejowy, główny. Część pociągów bowiem przystaje też pośrodku miasta, u stóp wzgórza, w miejscu gdzie spada ku dolinie Dunajca wąska i stroma, ujęta kamiennemi podmurowaniami ulica Kościuszki.

Kiedy zaraz pierwszego dnia wybrałam się na poszukiwanie zamku, nie umiałam go znaleźć, choć stał o kilkadziesiąt kroków od rynku, przesłonięty jedynie zakrętem ulicy. Był upał, popołudnie, cisza, ulice puste. Środkiem jezdni toczył się z wolna nieduży wózek chłopski, zaprzęgnięty w dwa dziwne małe woły. Ich zgodne, pochylone łby ukazały mi się w prostokącie jarzma, jak obrazek w ramie zbyt małej, poza którą daleko wychodziły przesadne rogi. Szły bez uzdy i lejc, pełne godności od położonego w nich zaufania, kierowane jedynie okrzykami woźnicy. Zawołał: „Hetta!" — i powoli wykręciły w prawą stronę. Gdyby zechciał, żeby skręciły w lewo, wystarczyłoby mu zawołać: „Wiśta". Już w tem wyraził się dla mnie egzotyzm

(CIĄG DALSZY NA STR. 4—6)

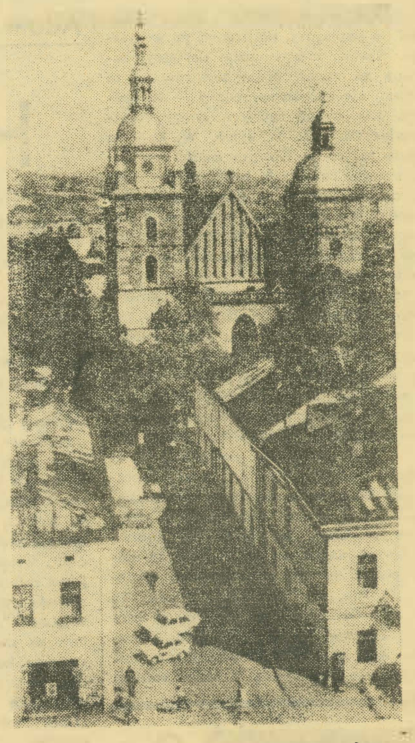

Fot.: JERZY ŻAK

Elżbieta Glinka

LATA NA SZLAKACH

Lekarz, poeta, malarz, żeglarz. Człowiek zauroczony urodą naszej nowosądeckiej ziemi. JERZY MASIOR.

Co go pchnęło na turystyczne ścieżki? Czego na nich szuka? Co odnajduje?

Nie tu się urodziłem, a przecież tu właśnie jest moja ziemia rodzinna. Nie tylko dlatego, że w Nowym Sączu spędziłem pierwsze lata życia, że moje dziecięce kroki wydeptywały tutaj ścieżki. Jest to moja rodzinna ziemia z wyboru serca, z tęsknoty, z przyjaźni do ludzi jakich nigdzie indziej nie spotkałem, z tej niepowtarzalnej atmosfery, bez której nie umiem długo żyć. Więc jestem tutaj i uczę się jej wciąż od nowa, tak jest bogata i zmienna w swoim pięknie, w swej tradycji.

Skąd wzięły się me zainteresowania turystyką? Przede wszystkim z wewnętrznej potrzeby życia pełniejszego niż tylko w kręgu zawodu lekarza. Broniłem się zawsze i bronię przed założeniem „końskich okularów", ograniczających pole widzenia. Nie jestem tylko lekarzem. Chcę dostrzegać, chcę wykorzystać bogactwo możliwości, jakie ofiarowuje mi życie. A nawet najwspanialszy, najbardziej interesujący zawód pełni życia nie da.

Początkowo, wciągając się niepostrzeżenie coraz głębiej w szeroko rozumiane problemy krajoznawstwa i turystyki nie wiedziałem jeszcze, że stąd, z tego kręgu ludzi otrzymam również inspiracje do innych form działania: do wyrażania siebie, swojego stosunku do życia pędzlem i piórem.

Malować zacząłem niejako przypadkiem. Ot, jeszcze podczas okupacji hitlerowskiej ukończyłem jakieś kursy kreślarskie, więc gdy znalazłem się we Wrocławiu na studiach medycznych, pomagałem memu profesorowi opracowywać plansze szkoleniowe. Gdy zaś profesor przygotowywał do druku podręcznik — „Propedeutykę chorób medycznych" — robiłem mu akwarelą barwne ilustracje spod mikroskopu (nie marzyliśmy jeszcze wówczas o kolorowej mikroskopowej fotografii). Potem namalowałem kilka obrazków-pejzaży. Ale dopiero tutaj, w górach, i dzięki znajomości ze znanym gorlickim akwarelistą Fuskiem nabrałem śmiałości i pewnej wprawy we władaniu pędzlem. Malarstwo stało się jedną z moich pasji; inaczej zacząłem widzieć góry, lasy, wody, inny walor zyskały światła i cienie. Przyoupnięte ze starości ku ziemi chaty, zielone stoki, kępy drzew i wijące się potoki stały mi się jeszcze bliższe przez to, że wymagały ode mnie trudu i poszukiwań, gdy chciałem utrwalić na kartonie ich ulotne piękno.

I właśnie koledzy z PTTK namówili mnie do zaprezentowania tych akwarel na wystawie. Broniłem się, tłumaczyłem: „dajcie spokój, gdzie mi do wystaw!". Dlaczego ludziom spodobały się moje obrazki, dlaczego je rozkupili? Nie sądzę, by dla ich niewielkich wartości artystycznych; raczej dlatego, że dość wiernie oddają obraz mojej ziemi. A człowiek — zwykły człowiek — chce znajdować w malarstwie znane kształty, bliskie sercu.

W turystycznych wędrówkach, w rozmowach z takimi jak ja zapaleńcami idei krajoznawstwa zyskiwałem tyle nowych doświadczeń i wrażeń, że zapragnąłem jeszcze inaczej niż dotychczas wyrazić swe odczucia. Tak powstały moje wiersze. Znamienne przy tym, że najwięcej pisałem w Iraku — pisałem o Nowosądeczczyźnie, bo brakowało mi znajomych krajobrazów, brakowało cudownej atmosfery braterstwa łazików i wodniaków. I znów — zaczęło się wszystko od PTTK, gdyż właśnie na jubileusz siedemdziesięciolecia Oddziału „Beskid" po raz pierwszy wysłałem w świat swe poetyckie „dziecko".

Wspominam tu ciągle wspaniałą atmosferę panującą w gronie działaczy Oddziału PTTK „Beskid". Jest to naprawdę zdumiewające, jak przez trzy ćwierćwiecza umiano przenieść z pokolenia na pokolenie tę wielką społecznikowską pasję, tę potrzebę serc, by sławić szeroko urodę swojej krainy. Bo idea naszego działania jest ogromnie prosta: pokazać to co mamy, a naszą ziemią nietrudno się zachwycić. Nigdy nie mówimy sobie, że robimy jakąś „wielką sprawę" — nasze działanie jest nawykiem. Gdzie biją źródła owego nawyku? Nie tylko w zauroczeniu Nowosądeczczyzną. Również w owej wspólnocie turystycznego bractwa, jakim jesteśmy. Każdy z nas, ktokolwiek chce coś sensownego dla tej wspólnej sprawy zdziałać, znajduje poparcie u wszystkich. Nie znaczy to wcale, byśmy byli układni i bardzo zgodni — skądże! Ścieramy się nieraz, i ostro, ale stanowimy wielką rodzinę i jak w rodzinie zawsze umiemy się skrzyknąć wokół wspólnej sprawy. Tak było zawsze w tradycji góralskich rodów.

Większość spośród nas — to niezmordowane, nieustraszone łaziki, których z górskich ścieżek nie zegna wiatr ni burza, ni zamieć śnieżna. Wiadomo: żyjemy i działamy tu, gdzie szczyty i doliny, leśne uroczyska i hale, bystre potoki i nastrzępione skały pociągają najmocniej. One zresztą, chęć i potrzeba ich poznania, były u kolebki nowosądeckiego „Beskidu".

Mamy więc w Oddziale Klub Tatrzański, szczycący się nawet wyprawami w Hindukusz, mieliśmy niegdyś (dziś odłączone od PTTK) Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Mamy Komisję Turystyki Górskiej, której przewodniczy Leopold Bieniasz, i Komisję tak zwaną Osiedlową — bodaj jedyną w kraju — organizującą tanie wycieczki dla rencistów. Jest, oczywiście, Koło Przewodników — nieodłączny strybut działalności każdego oddziału PTTK, ale na naszych górskich terenach wręcz niezbędny, bo tu żadna wycieczka nie może iść w teren bez dobrze go znającego przewodnika. Irena Styczyńska, Witold Tokarski... nie sposób wymienić wszystkich zapaleńców. To koło kształtuje opinię o nas w całym kraju, i możemy się poszczycić, że jest to opinia bardzo dobra. Wreszcie — Komisja Turystyki Młodzieżowej. Problemy pracy z młodzieżą długo „leżały", wskutek bezsensownych decyzji o podporządkowaniu ich kuratoriom. Na szczęście — znów młodzież szkolna wraca do nas. To ogromnie wdzięczne pole pracy, a zarazem cała nadzieja nasza na przyszłość. Profesorowie Jakubowski — senior tej pracy i Ligęza nawiązali szerokie kontakty z nauczycielami. Młodzież może wybierać turystykę pieszą i kolarską, wodniactwo — co kto woli.

Wielką naszą troską i bolączką jest — baza. Schroniska i stacje turystyczne odebrano nam przed laty, przekształcając w dochodowe noclegownie dla wczasowiczów i tak zwanych „turystów masowych". To, co stanowi istotę turystyki: indywidualny kontakt z krajobrazem, z przyrodą poświęcono na rzecz „spędów" ludzi obcych sobie i obcych potrzebie owego kontaktu. Na szczęście coś się znów w tej sprawie odmienia i chyba odzyskamy — przynajmniej tyle na razie — stacje turystyczne.

My, działacze Oddziału PTTK „Beskid", jesteśmy bardzo niespokojnymi duchami. I chociaż stokroć łatwiej chodzić utartymi ścieżkami — zarówno dosłownie, jak i w przenośni — wciąż nowych szukamy dróg. Przykład? Proszę: planujemy rajd tylko dla żeglarzy, pod hasłem „Góry—żagle". Dlaczego ludziom, którzy całe życie spędzają na wodach północnej Polski, nie pokazać naszych pięknych terenów? Niechże przejdą górskimi szlakami, a na zakończenie popływają po Jeziorze Rożnowskim. Naszego ośrodka w Znamirowicach (w ogromnej mierze mojego „dziecka") nie musimy się wstydzić.

Z tymi Znamirowicami było tak: na przekór tradycjom tutejszym zapragnąłem wykorzystać wspaniałą szansę, jaką stwarza Zalew. Patrzono na mnie trochę jak na cudaka: ot, przyjechał Bóg wie skąd i mądrzy się! Ale że — jak już mówiłem, popieramy się mocno we wszystkich działaniach, więc rychło znalazłem w naszym PTTK-owskim gronie pomocników. Na brak doświadczenia narzekać nie mogłem, bo przed laty, jeszcze we Wrocławiu, zorganizowałem harcerską bazę wodniacką. Więc i tutaj dałem sobie radę. Prezes Oddziału, dyrektor ZNTK Władysław Stendera, choć się po cichu w czoło stukał, a głośno od dziwaków mi wymyślał, przecież też służył wszelką pomocą. No i mamy ośrodek, o którym pani Sumińska, jedna z najlepszych żeglarek, powiedziała, że jest to najpiękniejszy w kraju turystyczny ośrodek żeglarski.

Wiem — i są dziś o tym przekonani również moi przyjaciele z Zarządu Oddziału „Beskid" — że wodniactwo ma w Nowosądeckiem przyszłość. Wszak, oprócz Rożnowskiego, będziemy mieć jeszcze dwa piękne akweny: Czorsztyński i na Ropie. Czyż może być coś piękniejszego, niż rejs po jeziorze otoczonym górami, pełnymi tajemniczych cieni i świateł, coraz to innymi o każdej porze dnia i porze roku?

Moja ziemia... Rad jestem, że swoją pracą w Zarządzie „Beskidu" (byłem jego sekretarzem, dziś jestem wiceprezesem) mogę choć trochę przyczynić się do poznania jej przez wielu, wielu ludzi, którzy wkraczają na turystyczne i wodniackie drogi.

Przed pięcioma laty, na jubileusz siedemdziesięciolecia Oddziału, tak pisałem:

Przetarliśmy ścieżki tej ziemi,
w jej rytmie swym rytmem tętnimy —
Od wielu lat już idziemy,
lata na szlakach liczymy.

Chciałbym naliczyć ich jeszcze wiele, bardzo wiele...

Adam Garbicz

Handlu, handluj!

Kolejki coraz dłuższe. I ciągle nowe: już po papierosy, po dżemy, po wszystko. Kartki, nierytmiczne dostawy, zakupy na zapas, braki towarów — to jedno; ale sposób sprzedaży — to drugie. Nie widać żadnych zmian, ułatwiających ludziom życie. W każdym razie ja ich w Nowym Sączu nie dostrzegam. Tam stoją bezczynnie ekspedientki w pustym sklepie — tam przechodzą katorgę i nie wytrzymują już nerwowo. Czekający w kolejkach też nie wytrzymują. Coraz gorzej, a ciągle w tym samym stylu.

Idę do Wydziału Handlu w ratuszu. 14 maja, kwadrans po południu. W pokoju jest jedna czwarta stanu osobowego, to znaczy pani Maria Tokarz od spraw opracowywania planów handlu i zaopatrzenia spożywczego. Kierowniczki nie ma: gdzieś na naradzie. Bardzo niedokładnie wiadomo, gdzie; później, ale już nie tu, dociekam, że to załoga ZNTK zażądała zwołania spotkania w sprawie realizacji swoich postulatów i bardzo dużo ludzi z urzędów pojechało na kolej. No dobrze, ale pani Maria jest od planów, to może powie mi coś o organizacji sprzedaży? Nie, nie zajmuje się tym. To sprawa Oddziału WSS. Chyba, że ktoś interweniuje wtedy przekazują sprawę. Ale ostatnio interwencji nie ma. Wcale się nie dziwię. Z okien ratusza dobrze widać tych kandydatów na interwencję, jak tracą resztkę energii w kolejkach. Właśnie po to ratusz stawiano w środku miasta, aby dobrze było widać, co się dzieje.

Pani Maria mówi, że nie mogą się pozbierać z reglamentacją. Jest biuro do tych spraw, rozdzielają kartki, ale nie dają rady, więc pani Maria od czterech dni liczy bloczki i pomaga. Urwanie głowy. Jeśli się czegoś chcę dowiedzieć, to mnie połączy z WSS. Ano dobrze. Parę telefonów. Zastępcy dyrektora od spraw handlu, Władysława Gąsiorowskiego, nie ma (też tkwi w ZNTK); nie ma nikogo z dyrekcji; nie ma prawie nikogo z kompetentnych osób; wreszcie pani Maria osiąga znajomą referentkę w dziale obrotu towarowego i pyta, jak wygląda obsada kas w „Lachu", bo o tym wspomniałem: że tam za mało stanowisk i tworzą się straszne korki. Nie, nie wiadomo, jak tam jest. Najlepiej rozmawiać z kierowniczką supersamu. Najlepiej, ale „Lech" milczy: nikt nie podnosi słuchawki.

Władysława Gąsiorowskiego, który pełni swoje funkcje od niedawna, osiągam telefonicznie po dwóch godzinach. Tak, wie, że sprawy reorganizacji handlu w dzisiejszych nowych warunkach są nie ruszone; ogromnie dużo czasu pochłonęła reglamentacja. Obiecuje dołożyć starań i skontrolować przedsiębiorczość kierowników placówek handlowych. Widzę dobrą wolę przytłoczonego ogromem spraw dyrektora, ale zauważam, że przecież od pracowników jego organizacji trzeba wymagać samodzielności i działania dla dobra ludzi — a więc żądać, by to oni zgłaszali inicjatywy, a raczej — zgłaszali, co już usprawnili. Dyrektor Gąsiorowski zgadza się, że tak. A zgłaszają? Nie.

Bywam często w „Lachu", więc widzę, co się tam dzieje w spożywczym na parterze: na ogół czynne tylko dwa stanowiska kasowe, od wielkiego dzwonu — trzy; to nie brak koszyków jest wąskim gardłem, tylko kasy. Sprzedaż chleba nadal odbywa się na sali ogólnej. W godzinach szczytu — olbrzymi tłok. Docieram wreszcie do kierowniczki supersamu, pani Leonardy Funek, i wyrażam swoje zastrzeżenia. Słyszę, że kasjerek jest siedem na pełnym etacie i jedna na pół i że na zmianę są czynne trzy lub cztery kasy. No to ja widzę co innego, a pani Funek wie co innego. Ale czy zgadza się, że olbrzymie kolejki można rozładować przez drobne zmiany organizacyjne, to znaczy pełne wykorzystanie stanowisk kasowych i odręczną sprzedaż chleba z oddzielnego stoiska? Nie zgadza się, bo po to jest „sam", aby konsument mógł sobie wybrać pieczywo z półki. Próbuję wytłumaczyć, że nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, więc lepiej zrobić okienko do sprzedaży chleba w rogu budynku tak, by ludzie podchodzili od razu z ulicy. I w ogóle coś trzeba zrobić, aby ludziom pomóc. Może zmniejszyć obsługę, kontrolującą salę, i posadzić te ekspedientki w kasie? Nie; dowiaduję się, że mam nieodpowiedzialne pomysły, bo klienci strasznie kradną i trzeba ich pilnować (co kradną, u licha — myślę — ocet czy kompoty? Bo czego innego tu już właściwie na hali nie ma). Pani Funek oburza się, że nic nie robi. Niestety, taka jest moja ocena: prawie nic, poza oddzielną sprzedażą masła (jeszcze przed reglamentacją) na stoisku alkoholowym i raz czy dwa awaryjną sprzedażą chleba. A stacze kolejkowi męczą się, zrezygnowani, i gorzknieją. Pani Funek mówi, że się postara i perswazyjnie wpływa na mnie, abym nie pisał źle, bo ją zdemobilizuję. Niestety, napisałem źle, bo widzę, że jest źle.

Nie uwziąłem się na „Lacha", tylko po prostu najlepiej go znam. Gdzie indziej jednak, przechodząc, obserwuję to samo: bezwład. Bardzo niebezpieczny bezwład. Obyśmy się nie doczekali potwierdzenia w polskich kolejkach rzymskiego przysłowia, że człowiek człowiekowi wilkiem. Trudno liczyć na dłuższą metę, że ludzie cierpliwie znosić będą upokorzenia, wywołane brakiem odpowiedzialności za swą pracę tych, dla których hasłem jest podobno „klient — nasz pan". Myślę o ludziach po obu stronach lady; bo szeregowi pracownicy handlu tak samo są udręczeni wskutek braku decyzji swoich zwierzchników.

Nie ma powrotu do dyrygowania

Przedstawiamy dzisiaj kolejny fragment założeń programowych poddanych pod publiczną dyskusję przed IX Zjazdem. Wybraliśmy tym razem myśli dotyczące kluczowego dla przyszłości problemu: **JAKA MA BYĆ PARTIA po najgłębszym w jej historii kryzysie? Co trzeba zmienić w jej funkcjonowaniu, by nigdy już nie powtórzyły się ciężkie błędy i wypaczenia prowadzące do konfliktu z klasą robotniczą i całym narodem? Czy proponowane mechanizmy demokracji wewnątrzpartyjnej w dostatecznym stopniu współbrzmią z oczekiwaniami organizacji podstawowych?**

Ewentualne uwagi i uzupełnienia chętnie wydrukujemy oraz przekażemy delegatom na Zjazd z naszego regionu.

Oto kilkanaście myśli zasługujących — naszym zdaniem — na poparcie i przede wszystkim na realizację:

● Aby PZPR mogła sprostać swej przewodniej roli w społeczeństwie, musimy uczynić ją partią opartą na demokratycznym życiu wewnętrznym, służebną wobec klasy robotniczej i narodu, działającą w sposób jawny i stale poddającą się kontroli ludzi moralnie czystych, urzeczywistniającą wolę swych członków i zapewniającą im pełnię praw statutowych. Partia krytycznie przewartościowuje swoje metody sprawowania roli politycznego przywódcy narodu. Nadrzędną dyrektywą w sprawowaniu tego kierownictwa jest zaciśnienie więzi ze społeczeństwem, partnerska współpraca z ZSL i SD oraz z samorządami organizacyjnymi ludzi pracy, umocnienie sojuszu sił rozsądku, dobrej woli i współodpowiedzialności za Polskę.

● z tak rozumianego politycznego przywództwa partii wynikają konsekwencje w postaci rozdziału zadań, kompetencji i sposobów działania między partią i organami władzy państwowej, zagwarantowanego zarówno w statucie partii, jak i w powszechnym systemie prawnym.

● zasadą polityki kadrowej powinno być powoływanie za pośrednictwem organów przedstawicielskich na funkcje w aparacie państwowym osób o najwyższych kwalifikacjach, niezależnie od ich przynależności partyjnej.
go na podstawie polskich doświadczeń walki o niepodległość i socjalizm.

● konsekwentne urzeczywistnianie zasad demokracji wewnątrzpartyjnej jest niezbędnym warunkiem zwartości szeregów partii skuteczności jej działania. Nie może być powrotu do stylu dyrygowania i komenderowania, nawału dyrektyw i instrukcji. Kierownictwo musi czerpać wiedzę o rzeczywistym stanie spraw, inspiracje i impulsy z myślenia całej partii. Członkowie partii muszą mieć możliwość swobodnego wypowiadania się na wszystkich płaszczyznach życia wewnątrzpartyjnego. Uchwały demokratycznie przyjęte obowiązują wszystkich członków.

● konieczne jest wprowadzenie zmian w statucie PZPR, powinny one dotyczyć m. in. określenia obowiązków i uprawnień instancji i organów wybieralnych, w tym określenia zakresu kompetencji i obowiązków Biura Politycznego, Sekretariatu i I sekretarza KC oraz odpowiednich organów instancji terenowych, a także gwarancji kontrolowania władz przez członków partii i jej organizacje podstawowe: włączenia do statusu jasno określonych, demokratycznych zasad wyboru władz i delegatów. odnowy składu władz partyjnych oraz dopuszczalnego czasu pełnienia funkcji z wyboru, wprowadzenia generalnego zakazu powierzania jednej osobie kilku kierowniczych funkcji partyjnych, państwowych i społecznych, zwiększenia uprawnień kontroli partyjnej i komisji rewizyjnych wybieranych przez Zjazd i konferencje; oparcia działalności partyjnej przede wszystkim na aktywności społecznej przy wyraźnym określeniu służebnej roli aparatu wobec wybieralnych instancji i podstawowych organizacji partyjnych, wprowadzenia obowiązku składania przez władze partyjne określonych sprawozdań z gospodarowania funduszami.

● do zasadniczych przesłanek właściwego działania partii należy demokratyczny tryb pracy Komitetu Centralnego, Biura Politycznego i Sekretariatu KC, kolegialność i bezpośrednia więź z szerokim aktywem, m. in. przez powoływanie zespołów konsultantów z organizacji partyjnych wielkich zakładów pracy, wsłuchiwanie się w opinie organizacji podstawowych i kierowanie się nimi przy podejmowaniu decyzji. Działalność centralnych władz partyjnych powinna być szerzej podawana do publicznej wiadomości, ich członkowie muszą być znani ze swej postawy, poglądów, stanowiska wobec poszczególnych problemów.

● władzę w partii należy skupić w ręku wybieralnych instancji. Aparat partyjny wszystkich szczebli powinien służyć pomocą w realizacji ich uchwał. Praca w aparacie partyjnym powinna być oparta na zasadzie okresowego urlopowania z pracy zawodowej po minimum 5 latach takiej pracy. W składzie aparatu potrzeba znacznie więcej kadrowych robotników.

● źródłem siły partii i decydującą płaszczyzną jej aktywności są organizacje podstawowe. Powinny one zajmować stanowisko zarówno wobec węzłowych kwestii polityki partii, jak i problemów wyłaniających się w ich środowisku. Członkowie partii pełniący funkcje z wyboru winni informować macierzyste organizacje partyjne o swej pracy.

● zasadnicze dla partii znaczenie ma rozwój krytyki i samokrytyki, ich niedostatek, zwłaszcza na szczeblach kierowniczych, pozbawił partię jednego z najważniejszych środków ujawniania słabości i błędów. Wielkie zadania stoją w dziedzinie podnoszenia jakości szeregów partyjnych. Należy ściśle przestrzegać zasady jednakowych praw i jednakowych obowiązków wszystkich członków partii uznając jednocześnie, że wyższa funkcja nakłada większą odpowiedzialność. Działalność teoretyczna: wydźwignięcie zawartych w marksizmie-leninizmie idei i wartości socjalizmu na naczelne miejsce w praktycznym działaniu partii jest nieodzowne dla przezwyciężenia kryzysu, który ma nie tylko charakter gospodarczy i polityczny, lecz jest kryzysem ideowo-moralnym. Umocnienie roli ideologii i intensyfikacja życia ideowego partii wymaga nawiązania do osiągnięć rodzimej myśli socjalistycznej, która jako jedna z pierwszych w Europie ugruntowała wpływ marksizmu w ruchu robotniczym i twórczo rozwijała go na podstawie polskich doświadczeń walki o niepodległość i socjalizm.

● bogactwo życia ideologicznego w partii, swoboda poszukiwań i dyskusji, prawo do wyrażania i obrony swego zdania, za czym się jednoznacznie opowiadamy, nie mogą prowadzić do podważania ideowych treści programu partii.

● partia, która przyjmuje w swe szeregi także wierzących ludzi pracy, umożliwia im działalność polityczną w myśl zasad swego programu, opowiada się jako całość za światopoglądem naukowym, prowadzi w tym duchu działalność edukacyjną i wychowawczą.

● naczelnym zadaniem pracy ideowo-wychowawczej partii jest pogłębianie patriotyzmu i internacjonalizmu. Trwałym elementem tej pracy trzeba uczynić umacnianie historycznej edukacji i samowiedzy narodu. Pilnym zadaniem jest wypełnienie luk i eliminowanie uproszczeń w oświetlaniu naszych dziejów, przede wszystkim w dziedzinie historii najnowszej, w tym całego okresu Polski Ludowej.

● umacnianie patriotycznych postaw w społeczeństwie należy łączyć z upowszechnieniem zrozumienia głębokich powiązań interesów polskiej klasy robotniczej i całego narodu polskiego z interesami klasy robotniczej innych krajów, a zwłaszcza z interesami narodów i państw wspólnoty socjalistycznej. Powinniśmy stale upowszechniać poczucie braterskiej więzi narodu polskiego ze Związkiem Radzieckim, narodami socjalistycznej wspólnoty i wszystkimi siłami postępu.

● przezwyciężanie kryzysu zaufania wymaga głębokich przeobrażeń w systemie społecznego komunikowania. Zadaniem prasy, radia i telewizji jest rzetelne informowanie, odzwierciedlanie i kształtowanie opinii publicznej, udział w kontroli społecznej. Należy trwale zapewnić dziennikarzom szeroki dostęp do niezbędnych im informacji oraz stworzyć skuteczne gwarancje uprawiania krytyki i właściwego na nią reagowania. Powinny służyć temu partnerskie stosunki między redakcjami, a politycznymi dysponentami oraz rozwiązania legislacyjne; m. in. nowa i uniemożliwiająca ograniczanie dyskusji i krytyki ustawa o kontroli publikacji i widowisk oraz ustanowienie prawa prasowego.

ROZMOWA O PARTII

W przedzjazdowej dyskusji jest okazja do przeprowadzenia wielu analiz, w tym także stanu i składu partii. Po ich dokonaniu łatwiej będzie — dodając wiele innych elementów — sformułować odpowiedź na pytanie, jaka powinna być partia — stwierdził w rozmowie z dziennikarzem PAP doc. dr Jan Błuszkowski z Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu KC PZPR.

— Jak liczna powinna być partia?

— Utrwaliło się dość stereotypowe przekonanie, że duża liczba członków, masowość partii jest świadectwa jej siły politycznej, poparcia dla jej polityki w społeczeństwie. W praktyce jednak nie stanowi to czynnika wystarczającego. Liczebny wzrost szeregów musi być zespolony z przestrzeganiem kryteriów jakościowych — z ideologicznym, politycznym i światopoglądowym zaangażowaniem członków i kandydatów. Proces kształtowania się partii wykazuje osobliwą cykliczność. Jej rozwój ilościowy od 1.442.794 członków i kandydatów w 1948 r. do 3.079.247 w 1979 r nie następował na zasadzie systematycznych przyrostów rocznych. Zjawiska przyspieszonego wzrostu wystąpiły w okresach narastających kryzysów, to jest w latach 1952—56 oraz 1976—79. W okresach pokryzysowych występował spadek liczby członków i kondydatów. Dotyczy to lat 1949—51, 1957—59 oraz 1971 r. Lata siedemdziesiąte były okresem szczególnie intensywnego wzrostu ilościowego partii. Występowała swoista rywalizacja pomiędzy poszczególnymi organizacjami i instancjami partyjnymi. Dążenie do wzrostu ilościowego partii spowodowało obniżenie wymagań ideowych, politycznych i światopoglądowych, wywierając też negatywny wpływ na przestrzeganie zasad i norm życia partyjnego oraz osłabiając ideową i organizacyjną zawartość partii. Na tym tle pojawiają się postulaty weryfikacji szeregów PZPR. VI Plenum KC stanęło na stanowisku wysokich wymagań jakościowych wobec członków i kandydatów.

— W dyskusjach wyrażane są poglądy, że w PZPR jest zbyt mało robotników...

— W procesie kształtowania się składu klasowego partii występowała tendencja zmniejszania się względnego udziału klasy robotniczej. W 1948 r. robotnicy stanowili 60,5 proc., w 1960 r. — 40,3 proc., w 1970 r. — 40,3 proc., a w 1979 r. — 41 proc., ogółu członków. W latach czterdziestych klasa robotnicza stanowiła wedle szacunków jedną czwartą ogółu czynnych zawodowo i blisko dwie trzecie w składzie partii. W 1979 r. robotnicy stanowili prawie połowę czynnych zawodowo i zaledwie dwie piąte w składzie partii. Dysproporcje są więc wyraźne.

Podkreślić jednak trzeba, że tendencję spadku powodował m. in. fakt, iż znaczna część robotników partyjnych przechodziła w życiu zawodowym na wyższe stanowiska pracy, zmieniając swój status społeczny. Przeprowadzone analizy wykazują, że w partii znajduje się 55 proc. członków, którzy byli, bądź są obecnie robotnikami.

— Mamy w partii ludzi wierzących. Czy nie jest to sprzeczne z jej marksistowsko-leninowskimi zasadami?

— Stosunek partii marksistowsko-leninowskiej do religii jest konsekwentny i jednoznaczny. Wierzący mogą wstępować do partii. Zgodne to jest z poglądami klasyków i tradycjami polskiego ruchu robotniczego oraz podyktowane rzeczywistymi wymaganiami wynikającymi z cech i stanu świadomości klasy robotniczej, a także innych klas społecznych. W przeciwnym wypadku stalibyśmy na stanowisku sekciarsko-dogmatycznego modelu bazy rekrutacyjnej partii. Partia uważa religię za kwestię prywatną w stosunku do państwa, lecz bynajmniej nie w stosunku do siebie. Dlatego wobec wierzących członków dąży do przekształcenia ich światopoglądu w kierunku materialistycznym — w celu zachowania swojej filozoficznej tożsamości. Problemem natomiast są stosunki między niewierzącymi a wierzącymi członkami partii. Nie oznacza to jednak konfrontacji między tymi grupami. Obie jednoczą się na gruncie wspólnej akceptacji ideologii społecznej i polityki partii. Sugerowanie, że między niewierzącymi i wierzącymi występują różnice i podziały polityczne oraz że ma miejsce dyskryminacja wierzących — jest nie prawdziwe i szczególnie niebezpieczne dla partii znajdującej się w sytuacji kryzysowej. Partia wyraża przecież w jednakowym stopniu interesy wierzących i niewierzących członków, a także bezpartyjnych. Musi także chronić swoje szeregi przed prowadzącymi otwartą walkę zarówno z ruchem ateistycznym jak i z kościołem. W opinii społecznej istnieje też zbieżność takich elementarnych wartości humanistycznych etyki socjalistycznej i katolickiej jak: poszanowanie godności ludzkiej, równość, sprawiedliwość, uczciwość, poszanowanie ładu społecznego itp.

— Podstawowym warunkiem wyjścia z obecnego kryzysu jest odzyskanie autorytetu przez partię. Jakie są tego przesłanki?

— Ukształtowała się i funkcjonuje nadal z pewnymi modyfikacjami rozbieżność między poziomem oczekiwań społecznych związanych z socjalistycznymi rozwiązaniami ustrojowymi, a realnymi możliwościami ich realizacji. Kryzys obecny, poza innymi powodami, ma też swe źródła w sposobie sprawowania władzy. Lipcowo-sierpniowy konflikt strajkowy ujawnił siłę tego kryzysu. Partia, uznając słuszność protestu żądań robotniczych, stanęła na stanowisku rozwiązań politycznych.

Uważam, że do podstawowych przesłanek wyjścia z obecnego kryzysu i odzyskania autorytetu przez partię zaliczyć należy przestrzeganie uniwersalnych prawidłowości rozwoju socjalizmu z uwzględnieniem narodowej specyfiki. Polityka PZPR musi wyrażać interesy i dążenia klasy robotniczej i całego narodu. Musi też być określana przez tę klasę.

Realizacja tych zadań zależy od programu, który wytyczy Nadzwyczajny IX Zjazd. Wiązane są z nim w partii i poza nią, w całym narodzie — nadzieje i oczekiwania na wyprowadzenie kraju z kryzysu, stabilizację społeczno-gospodarczą, socjalistyczną odnowę życia politycznego.

Rozmawiał JAN RÓŻDŻYŃSKI

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

stron dalekich, gdyż u nas w tym wypadku mówi się po prostu „Odsię" i „Ksobie". Egzotyzm uderzył mnie także w szyldach, wiszących nad sklepami wzdłuż ulicy. Odczytywałam na nich napisy, u nas nieznane: „Wyrąb mięsa", „Sklep towarów mieszanych", „Pokój do śniadań" i „Wypożyczanie kajaków".

Z rynku na prawo zobaczyłam na granatowym odsłonecznem niebie dwa ciężkie kamienne bloki wież kościelnych i małą uliczką, wąską, skręciłam w tę stronę. Stary gmach, zasłonięty od widoku ludzi szeroką kamienicą okazał się dawnym kościołem farnym, przy którym utworzył kolegiatę Zbigniew Oleśnicki w r. 1448. Wewnątrz i naokoło pełno zniszczonych odłamków piękna — zamurowane, pochowane w ścianach luki, ozdobne kamienie odrzwia, płaskorzeźby, stary obraz Chrystusa w bocznym ołtarzu, o którym coś ciekawego powiem jeszcze później, kamienne chrzcielnice, oparta o ścianę prawej nawy i zastawiona ławką płyta grobowa z XV w. z płaskorzeźbą wyobrażającą leżącego dostojnika w hiszpańskim stroju. W sąsiednim ogrodzie, za mieszkaniem księdza, na samej krawędzi zbocza, można widzieć z olbrzymich głazów budowany ocalały zrąb murów miejskich jeszcze „kazimierzowskich". Stojąca po prawej stronie kościoła „tania kuchnia katolicka" z kamiennemi odrzwiami i ornamentowanemi obramieniami okien wydaje się być tym dawnym ratuszem, który Oleśnicki odkupił na mieszkanie dla wikarych. Całe to miejsce, wyjęte niejako z czasu i na bok odłożone, z murami i bramami, z grupami starych drzew, z wątłym słonecznikiem, wyrastającym nie wiadomo dlaczego na wysokości jednego piętra z dziupli kasztana — jest urocze. W głębi za kościołem stoi „dom sierot", budynek duży i nieładny, sposób jednak, w jaki okryty jest kwiatami i przesłonięty rozpłakanemi gałęziami dwóch brzóz, pozwala o tem zapomnieć. Z jego otwartych okien buchają kwiaty, jak z okien pralni kłęby pary na mróz. Te róże pnące, petunie i pelargonie, metrowemi łodygami pytająco utkwione w powietrzu albo bezradnie głowami przewieszone w dół, są bujne niewiarygodnie, po trzykroć większe niż gdziekolwiek indziej. Przez żelazne pręty ogrodzenia widać dziedziniec sierocińca, nie posiadający, niestety żadnych nowoczesnych urządzeń do gimnastyki i zabawy dla nudzących się tu, nędznie odzianych dzieci. Ale pod kamiennym murem, który go dzieli od sąsiednich ogrodów i na klombie pośrodku znowu kłębią się, duszą i literalnie szaleją kwiaty — całe zwały pachnących białych floksów, bladokoralowych malw i różowych hortensyj — kwiaty delikatne w barwach, powiewne i puszyste. Czwarta ściana tego dziedzińca wydaje się jakby wyłamanemi nagle wrotami na rozległą, zalaną słońcem dolinę Kamienicy i mgławe góry w głębinie oddalenia. Na tem tle z florenckich prymitywów stoi nieduża, przeźroczysta, z kratki drewnianej zbudowana altana: nad jej potrójnem wejściem wyginają się łagodnie trzy łuki, niby ramy tryptyku. Z jej stopni schodzi, idzie między kwiatami, pochyla się nad dziećmi, pilnująca ich wysoka, młoda dziewczyna w brązowym ubiorze zakonnicy. To, że nad białym kornetem nie ma wymalowanej na niebie złotej obręczy, wydaje się po prostu przeoczeniem.

Odchodząc stamtąd uliczką św. Ducha minęłam jeszcze w tej okolicy dwa kościoły: pobliski kościół jezuitów, w r. 1414 jako klasztor norbertanów ufundowany przez Jagiełłę, i — już po drugiej stronie rynku, bliżej Dunajca — najstarszy z tutejszych kościołów, niegdyś franciszkanów, obecnie ewangelicki. Stąd zejściem spadzistem dostałam się na brzeg Dunajca, zarosły w tem miejscu trawą i poszłam ścieżką w górę rzeki, patrząc z dołu na miasto, bielejące stromo na wzniesieniu. Zaniepokoił mię wielkim czworobokiem na krawędzi zbocza rozsiadły gmach i przechodzącej z dziewczynką damy zapytałam, czy to nie jest czasami zamek. „Nie — odpowiedziała grzecznie — to jest kryminał". Zaraz też mię ostrzegła, że w tem miejscu nad rzeką lepiej się nie zatrzymywać, bo z okien mogą dawać znaki i będę miała nieprzyjemność. Gmach, o który pytałam, był niegdyś kolegium pijarów, obecnie obróconem na więzienie.

Ścieżka nadbrzeżna przechodzi pod drugim mostem na Dunajcu — kolejowym — też głęboko z obu stron sięgającym w wybrzeża, które przy wysokim stanie wód na dużej przestrzeni ulegają zalewom. Od tego miejsca zaczyna się rozległy park nadrzeczny z boiskami sportowemi, łódkami nad brzegiem, kioskami z wodą i czekoladą i dalej — już poza strefę rozlanych tu wód stojących i wiklin — płaską, bezdrzewną, zatopioną słońcem plażą.

Wzdłuż alejki, na ławkach leniwie patrząc w te różne wody, siedzą żołnierze, każdy z piórkiem sokolem nad lewym uchem, dziewczęta, bezczynni młodzieńcy. Znalazłam sobie tu miejsce i jak oni odpoczywam, bezmyślnie patrząc w wodę, zieleń, niebo. Z prawej strony rozlegał się raz po raz głośny łoskot wody, a po nim okrzyki dzieci, biegających nad brzegiem. Stała tam nad zatoką zielonawej łachy wysoka, o pięciu kondygnacjach skocznia. Nadzy chłopcy, opaleni i zwinni, wspinali się na nią i z różnych wysokości spadali w wodę — jedni głową w dół, inni nogami, co mi się wydawało dziwniejsze. Na sąsiedniej ławce siedziały dwie Żydówki — jedna bardzo stara zmniejszona przez wiek, chuda i brązowa, z bujną młodą peruką na głowie. Miała w każdem uchu po dwa wielkie brylanty, niesamowicie białe w świetle dnia, oprawne starożytnie, jeden po drugim, w wypukłem ujęciu mnóstwa srebrnych pazurków. Wrażenie bogactwa potęgowała okoliczność, że do każdego kolczyka uwiązana była nitka czerwonej bawełny, zabezpieczająca je dodatkowo jakimś węzełkiem na karku. Druga Żydówka, już mniej archaiczna, siedziała obok i z daleka dawała baczenie na dzieci. Nie mówiły ze sobą nic prawie, wszystko między niemi było wiadome — między niemi nawzajem a także między niemi obiema i światem.

Inna dama żydowska nadeszła powoli aleją — nie stara, bardzo gruba i elegancka, także z brylantami. Mimo upału ubrana była na czarno i ciężko, zamiast peruki miała nieduży kapelusz. Usiadła przy mnie i po dłuższym zastanowieniu zapytała, czy jestem nietutejsza. Zauważyłam wtedy, że większość zębów ma z platyny. Oznajmiła mi, że ją bardzo denerwuje to skakanie do wody. Patrzyła przecież w tę stronę i tylko za każdym nowym skokiem odwracała głowę, z cichym jękiem osłaniając twarz ręką. W Nowym Sączu mieszka już trzydzieści lat i od pierwszego dnia miasto bardzo jej się podobało. Od niej dowiedziałam się, że to dość zaniedbane miejsce nadbrzeża było dawniej ozdobione mnóstwem krzewów i kwietników. Jest tak zmienione, że trudno je poznać, po zniszczeniu zeszłorocznej powodzi. „Nie tylko krowy, dachy, deski płynęły z wodą, ale nawet — tu zniżyła głos — fortepiany..."

Wróciłam do domu — mijając mały miejski dworzec kolejowy — ulicą Kościuszki wspinającą się schodami kamiennemi ku Jagiellońskiej. Podmurowania z głazów, ponad któremi kłębi się zieleń starasowanych ogrodów, są jakby zapożyczone ze śródziemnomorskiego południa. Mieszkałam blisko stąd w czystym hoteliku ze skrzynkami petunii i pelargonii u okien, z widokiem na jasną za ciemnemi drzewami dolinę i niebieskie góry. Z rytualnej kuchni tego hotelu dostawałam co rano wcale niezłą białą kawę. Poza tem żywiłam się własnym przemysłem i przychodziło mi to mniej łatwo, tutejsze bowiem „pokoje do śniadań" obliczone są głównie na spożywców alkoholu.

W księdze pamiątkowej tego hotelu znalazłam nazwisko śpiewaczki, pani Wandy Wermińskiej, pochwalającej uroki sądeckiej ziemi, pewnego wsławionego niechęcią do „Wiadomości Literackich" generała, który zwięzłem słowem żołnierskiem zaznacza, że „jest zadowolony", paru hrabiów, też zdaje się zadowolonych, ministra Czesława Michałowskiego i poety Mariana Czuchnowskiego.

Zamek królewski zobaczyłam po raz pierwszy w czasie ulewnego deszczu już obznajomiona z jego świetnymi dziejami przez znalezioną tu książeczkę Ignacego Kwiecińskiego. Obeszłam zewnątrz ocalałą jego basztę i część muru, zakończonego u góry pięknym późniejszym renesansowym grzebieniem, odnalazłam od strony dziedzińca „szkarpę z kapnikiem gotyckim" i uwierzyłam, że zamek budowany był przez Kazimierza Wielkiego mniej więcej w połowie XIV w. Część uchroniona od ruiny, przebudowana i użytkowana dla wojska przez władze austriackie, tylko gdzieniegdzie w zarysach bram, w odrzwiach i obramieniach okien zachowała szczątki wielkości dawnej. Zamek, niegdyś obronny, siedziba kasztelanów a później starostów grodowych. Ulegał pożarom i zniszczeniom, z części zachodniej i południowej nie zostało już śladu. Wzgórze oblepiły domostwa przylegającej tu dzielnicy żydowskiej. W dziedzińcu prowadzone są prace konserwatorskie, przy imponującej autentyczną pięknością ścianie obnażonych głazów pracują robotnicy, obwodząc je precyzyjnym siatkowym rysunkiem po śladach dawnych spojeń. Część mieszkalna ma być również odrestaurowana i stanowić pomieszczenie dla miejscowego muzeum. Z zarosłego trawą dziedzińca i z małego kamiennego tarasu zamkowego rozległy widok obejmuje dolinę Dunajca i jego dalszy bieg ku północy w obramieniu niższych z tej strony gór.

Między Dunajcem

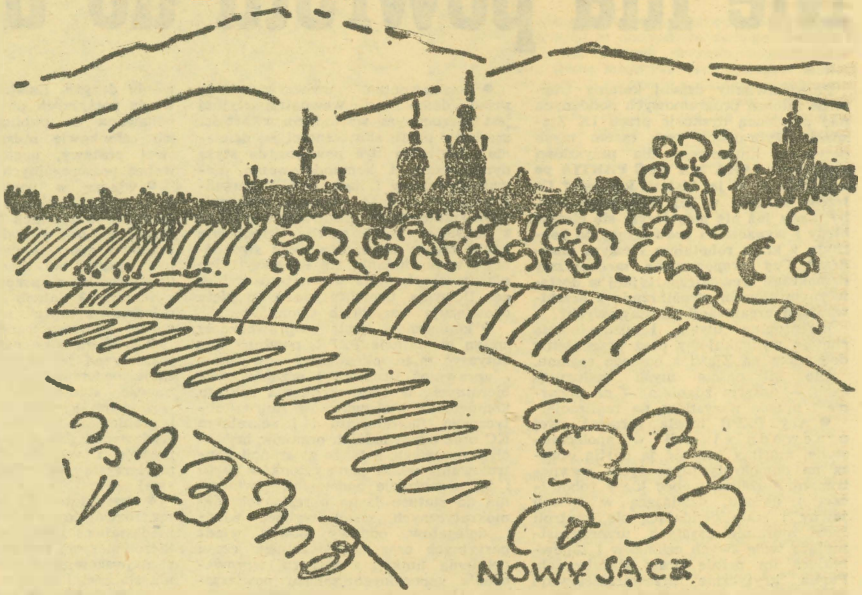

W jednym z domków na dziedzińcu mieści się biblioteka miejska im. Szujskiego, z której wzięłam sobie dwa tomy starego dzieła Szczęsnego Morawskiego o Sądeczczyźnie. W tym samym korytarzu jest lokal sądeckiego klubu literacko-artystycznego „Łom", otaczanego szczególną opieką miejskiego zarządu. Ze zgrupowanej tam młodzieży ogłaszają w pismach literackich swe prace Fijas i Potoczek. W katalogu biblioteki nie znalazłam, niestety, ani jednej książki takich nawet autorów jak Kaden i Dąbrowska, Za to poza Morawskim wybrałam tam sobie jeszcze do czytania „Cierpienia młodego Wertera" i przedziwną książkę Carlyle'a „Sartor Resartus", z której zapamiętana cytata prześladowała mię w czasie spacerów nad Dunajcem: „Najpiękniejsza Blumina na kształt Gwiazdy, cała z Ognia i z wilgotnej Słodyczy..." We wdzięcznej pamięci zachowałam też panienkę, wydającą tam książki i jej duże oczy niebieskie, pełne dziecinnej powagi.

Na to miejsce powracałam jeszcze parokrotnie, usiłując wmówić w siebie, że w obrębie tych murów naprawdę odbywały się rzeczy, o których mówi historia. Że w r. 1370 witano tu Ludwika Węgierskiego, że Elżbieta Łokietkówna przyjęcie dla szlachty sądeckiej i sandomierskiej urządziła na tym zamku. Że Jadwiga i Jagiełło tutaj podejmowali Zygmunta Luxemburskiego, że tutaj swe plany bitewne układał Jagiełło z Witoldem, że tu niejednokrotnie przebywał Kazimierz Jagiellończyk. Wolno mi było natomiast nie wierzyć, że chory na kamień pęcherza Długosz na tem miejscu bił przy nauce łaciny i Pisma Świętego krnąbrnych synów tego Kazimierza, bo to mogło się równie dobrze odbywać w Starym Sączu, a nawet w Naszacowicach. Wierzyć zaś muszę, bo to jest autentyczne, że król-ojciec do zmartwionej tem małżonki powiedział: „Nie masz dla mnie gędźby milszej niż płacz synów moich, gdy ich chłosta Długosz". A wierzę chętnie, że niemiłego starca zastępował w lekcjach łagodny Kallimach, ulubieniec królowej i królewiczów i że do Sącza sprowadził swoją Świętochnę, dla której pisał wiersze: „Żale przed Hanią", „Wieniec od Hani", a nawet „Pierś Hani". Jakkolwiek „szynkarka pospolitego rodu", była piękna, swawolna i godna miłości tego renesansowego poety, na którego romans ów sprowadził później duże kłopoty — podobno za sprawą złośliwego Długosza. Morawski podaje teksty aktów, w których figuruje Anna Świętochna z Krakowa w otoczeniu dorosłych już synów. Nazywają ją tam Filipową, chociaż ślubną małżonką Kallimacha, jako duchownego, być nie mogła.

Ale historia jest dla mnie rzeczą dziwną i nierzeczywistą, nie dowierzam jej, nie umiem jej sobie wyobrazić, że tak powiem, w terenie.

Powyżej Nowego Sącza uchodzi do Dunajca Poprad, krętą linią przerzynający się przez góry. Gdy później poznałam jego stromą i wąską, pełną zagięć dolinę, wysłaną ode dna aż po niebo gęstą, aksamitną materią świerkowych lasów, znowu nie mogłam przystać na tę sprawę tak dziwną, nie mogłam tego w wyobraźni uzgodnić, że oto tędy właśnie od stuleci, od czasu starożytnego handlu bursztynem poprzez chrześcijańskie średniowiecze z jego świętymi, niosącymi na północ „światło wiary" — wędrowali tak ludzie owocześni, prawdziwi wówczas i zwyczajni, jeszcze nie przeobrażeni odległością czasów. Jakże mogły iść tą drogą nadwodną i leśną, tą łagodną przepaścią pod dzisiejszym Żegiestowem, owe „poczty" konne, owe „kotcze",

i Kamienicą

swe zbrojne zastępy ze wszystkimi rekwizytami dziejów, w całym rynsztunku historii. Władysław Łokietek, tędy może wchodzący do Polski Sobieski oczekiwany w Starym Sączu przez Marysieńkę — jak to zobaczyć? Ten świat z teatru nie daje się umieścić pośród natury, która — o dziwo — znosi dziś doskonale wyginający się wedle krętej linii wyłomu tor kolejowy z klekoczącym po szynach zadymionym szeregiem wagonów i szumnem echem skał i urwisk odpowiada na ciężki oddech lokomotywy.

Pod zamkiem rozsiadła się dzielnica żydowska z zakamarami wiekowego brudu i zaduchu. W odległości paru kroków od siebie znajdują się tu trzy bożnice, w których o zmierzchu przy świetle świeczek siedzą na ławkach nad księgami pochyleni Żydzi w swych paradoksalnych ubiorach. U stropów stare świeczniki wiszą rzędami, jak w antykwariatach na Świętokrzyskiej. Ale płonące w nich świece są autentyczne. W jednej z bożnic wisiał pomiędzy niemi ogromny żyrandol nowoczesny z żarówkami elektrycznemi, brzydotą ozdób i białem światłem stwarzając kontrast, który nikogo nie niepokoił.

Uliczki, zbiegające się tu i krzyżujące, w upale dnia pełne są ciężkiej woni idącej z pobliskiego targowiska. Wokół dużego, pretensjonalnego ratusza pośrodku rynku w dnie targowe rozstawione są gęsto stragany z najuboższemi przedmiotami handlu — mydło, sznurowadła, skarpetki, grzebienie, nade wszystko jednak mnóstwo skór, całe stosy, stragan przy straganie, w cenie jednego złotego za kilogram. Na wózkach ciągnionych przez małe woły i nie większe od nich koniki, wsie okoliczne dowożą drób, siano, cielęta i nabiał. Żydzi chodzą tu w kapeluszach, nie w czapkach, noszą ładne, długie loczki, po jednym przy każdym uchu. W sobotę wielu z nich ukazuje się w lakierowanych pantoflach i białych pończochach, w atłasowych świecących chałatach, a kapelusze są wtedy aksamitne, obwiedzione na brzegu ronda wałkiem pięknego brązowego futra, którego długi błyszczący włos rozbiega się promienisto od głowy na jasnym niebie. Bo niebo jest tu wszędzie — domy niewysokie, perspektywy szeroko otwarte.

Pod wieczór ci sami ludzie na pobliskiej zamku części wybrzeża snują się gromadami po wydeptanej trawie nad wodą. W zapadającym zmierzchu przypominają „Trąbki" Aleksandra Gierymskiego. Zatrzymują się mówiąc, czasami stają wokół jednego po kilkunastu. Coś się tam odbywa z tych rzeczy niezrozumiałych, o których w wierszu „Żydzi" pisze Tuwim.

Ale młodsi chłopcy schodzą niżej na brzeg, zrzucają z siebie ciężkie odzienie i w małych czarnych majtkach wskakują do chłodnej wody. Są wtedy zwyczajni, zatraca się ta ich dziwność, gdy ociekając wodą, biegają po brzegu, gonią się i nawołują, a przed ubraniem wykonywają zgodne gesty znane z rytuału gimnastyki internacjonalnej.

W „Słowniku geograficznym" znalazłam taką wzmiankę: „Za zgodą mieszczan pozwolił Michał Wiśniowiecki osiedlić się w Sączu Żydom, byle mieszczanom w handlu nie przeszkadzali i wraz z nimi podatki płacili. Przywilej ten znany jest z potwierdzenia przez Jana III w 1682 r. Nowi mieszkańcy przybyli licznie, gdyż w r. 1690 dozwolił im starosta Jerzy Aleksander Lubomirski zbudować synagogę przy ulicy Szpitalnej za zgodą magistratu".

Wracałam raz szosą ze wsi Gołąbkowice, gdzie na prześlicznem wzgórzu leży stary cmentarz. Z napisów na grobach odtwarzałam tam sobie w zwięzłych skrótach całe dzieje rodzin: „Najukochańszym rodzicom dzieci", „Ukochanemu mężowi żona", „Najlepszej matce córka" — z niewiele późniejszą datą obok w grobie pochowana. Rozmyślając o tem, znalazłam się na przedmieściu Zakamienica, pospolicie zwanem „Piekło" — i tutaj między szyldami nędznych sklepików przeczytałam takie oznajmienie: „Izak Kamień. Sprzedaję i kupuję puste worki". Zatrzymałam się i stałam chwilę w zadumie nad tą wymową symbolu, uderzona znikomością zabiegów i działań człowieczych na ziemi. Myślałam też, czy sprzedawanie i następnie kupowanie pustych worków należy uważać za „przeszkadzanie w handlu mieszczanom", czy za proceder pod tym względem obojętny.

Cały Sącz poprzerastały jest zielenią, ogrody ukazują się w miejscach najbardziej niespodzianych, w ciasnocie ruder, sklepików, cuchnących podwórz, ponurych wnęk z obiegającymi piętra po obłupanych murach z cegły drewnianemi gankami. Te szmaty ogrodów są przytem niebylejakie. Bujność gleby nadaje trawie mocny odcień zieleni, stare drzewa rozpościerają swe konary gestami wspaniałości i mocy. I zawsze w tych miejscach otwiera się niespodzianie wylot na daleką perspektywę gór i nieba. Taki jest szczątek parku w pobliżu zamku królewskiego, tuż przy okropnym, zaniedbanym placyku z budynkiem łaźni miejskiej, gdzie w dniu mego wyjazdu kręciła się bezpośrednio w gruncie olbrzymia karuzela, ozdobiona wieńcem najdziwniejszych malowideł w górze i festonami zasłon z paciorkową frędzlą. Kolebki ciągnęły konie zastygłe w galopie — brązowe, czarne i białe, wszystkie cętkowane na podobieństwo tutejszych pstrągów. Puszczona w ruch karuzela wydaje z siebie tony muzyki najbardziej egzotycznej. W głębi, na kołach stoi bez zaprzęgu wagon lub raczej domek wędrowny, zamieszkały przez igrców czy wagantów z „Żywych kamieni" Berenta.

Wzdłuż ulicy Jagiellońskiej raz po raz powtarzają się te niespodzianki. W pewnym miejscu między jej domami nastaje po prostu przerwa, zwykły nieogrodzony skwer — i tą szczeliną wlewa się nagle cały ogrom przestrzeni: pokryta polami i ogrodami dolina, białe pośród niej, kryte czerwoną dachówką domki w drzewach, wielka smuga parku, zakrywająca rzekę, niezmierzone dale podgórskiej krainy aż po horyzont. Nie rozumiem, dlaczego nie zjeżdżają się wszyscy, jak dla sensacji, żeby oglądać ten przepych piękności, rzucony tutaj niedbale — niedość wyzyskany, niewiedziany.

Dunajec, rzeka groźna, giętka i żywa — najbardziej jednak podobna do węża, do srebrnego padalca — przerzuca się swem ciałem po łożysku kamieni, zbyt dla niej szerokiem w chwilach spokoju. Przy wąskim stanie wód wychodzi z jego płaskich brzegów, szoruje po drzewach i zaroślach, miota się, wyrywa kawały ziemi i w wymytych jamach, w głębokich dołach zostawia swą wodę. Gdy wraca do swych rozmiarów, wzdłuż jej brzegów tworzą się pasma stawów, wody leniwie stojące, parujące w upale, nie zawsze sączącym się strumykiem połączone z rzeką. Całą tę niepewną dziedzinę trzymają w karbach nieprzeliczone groble, od stałego lądu poprzecznie idące przez wikliny i mokradła do niskiego wybrzeża. Ułożone z ciężkich głazów i oplecione ponadto grubą, wiązaną siatką z drutu, po której niełatwo jest stąpać, powtarzają się tu wszędzie, w najmniej oczekiwanych najdzikszych miejscach tych okolic.

Zachody słońca, odbywające się dla tego miasta za Dunajcem są zainscenizowane w rozmiarach zaiste wspaniałych. Stare drzewa nadbrzeżne wiązy, dęby, prześliczne, zrozpaczone brzozy biorą w ramy to widowisko. Poprzez ich pnie, pod ich gałęziami, widać zamarłe w zaroślach wikliny oka wód zielonawych. Za niemi połyska płat rzeki, wody migotliwej i raczej metalowej i twardej od blasku. Dalej znowu jaskrawa, wiklinowa zieleń drugiego brzegu, a za nią góry z lasami, które nigdy na tę odległość nie wydają się zielone. Niebo nad niemi pośród ogromnej przestrzeni światła wznosi się pionowo piętrami obłoków w pałających kondygnacjach czerwieni i ognia. Słońce powiększa się, przestaje świecić, powoli obsuwa się w matową mgłę, w przejrzyste, szaro-fiołkowe ciemności. Oczy, odwrócone od tego widoku, zastają już ziemię w mrokach, bezbarwną i nieruchomą.

Poza dzielnicą żydowską i owem „Piekłem" zakamienickiem w mieście prawie nie widać nędzy. Ulice są czyste, domy nawet małe — przeważnie murowane, śródmieście wdzięcznemi willami w ogrodach niepostrzeżenie przechodzi w wieś. Po świetnej, opartej na handlu i tranzycie przeszłości Nowy Sącz popadł w letarg wielowiekowy, pozostał na boku idących dziejów. Nie ma tu przemysłu, prócz elektrowni i dwóch czy trzech kominów w głębi pejzażu, nie ma chyba ani jednej fabryki. Jego uroda jest niemodna, nieżyciowa, jest adaptacją człowieka do natury, który jej tu nie szpeci, który ma instynkt terenu — budując domy, zapewnia ich oknom maximum dającej się oglądać piękności. Nie ma nigdzie prawie wstrętnych drewnianych parkanów, szop i bud niewyraźnego przeznaczenia. Obok starego mieszczaństwa osiadają tu urzędnicy administracji i kolei, w dzielnicy bliższej dworca stoją rozległe zabudowania wojskowe. Niewiele się tu dzieje. Kościoły są pełne, dwie jedyne cerkiewki zawsze puste. Restauracje wszystkie w niedzielę od południa zamknięte. Dwa kinematografy dają naprzemian te same obrazy, o czem informują szczegółowo wielkie plakaty na murach.

W przeszłości Nowy Sącz był bardziej niespokojny. W początkach w. XV działał tu przyjaciel Hussa Jarosz Praski, który filozofią swą oczarował nawet biskupa krakowskiego. Wyklęty później na Węgrzech, w Czechach i w Polsce został spalony. Według Długosza był to ten sam, który jako pierwszy opat założonego przez Jagiełłę klasztoru premonstratensów wiódł życie pokutne i surowe. Tutaj też przebywał jeden z najwybitniejszych arian w Polsce, Farnowski. Gorącym jego protektorem był starosta grodowy Mężyk. Działalność ich wytworzyła w łonie polskiego arianizmu osobną sektę nowosądecką. Nie tylko na przedmieściu Zakamienicy, lecz w samym zamku królewskim odbywały się ariańskie nabożeństwa i kazania. W r. 1570 surowy list królewski wezwał starostę Mężyka, aby usunął z zamku i miasta sekciarzy, gdyż starostów mianuje się „nie dla zaprowadzania jakiejś nowej religii, lecz dla bronienia starej i wymierzania sprawiedliwości".

Dostatek i piękność doliny Dunajca tłumaczy się żyznością gruntu, którego pochodzenie jest napływowe. Góry pobliskie natomiast, o gruncie jałowym i skalistym są siedliskiem nędzy wiejskiej. Po mieście biegają obdarte i wynędzniałe dzieci, zawodowo domagające się jałmużny. W dnie targowe odbywają się tu całe kongresy żebraków z okolicy. Chodzą po rynku i ulicach, wystają przed sklepami czekając swojej kolei. Ich dziurawe góralskie kapelusze, bose, oblepione zeschłem błotem dróg nogi, strzępy i łaty wiejskiego odzienia, podróżne kije nie odrapane z kory — to wszystko świadczy, że przybywają z owych głodnych wiosek podgórskich, o których wieść przeszła już do literatury pięknej, oczekiwanej jednak reakcji dotąd nie obudziła. Wielu pośród nich to typy skarlałe, widmowe wychudłe, kalekie, nieraz z szyjami rozdętymi olbrzymiem wolem, ponad którem uwięziona twarz wydaje się malutka i przerażona.

Szosą od wschodu w stronę mostu na Kamieńcy idzie kobieta stara i wysoka. Jest w strzępach, na plecach dźwiga wielki kosz naładowany drobnemi wyrobami z drzewa. Drzewo jest bukowe, trwałe, którego „robak nie weźmie". Za wieszadło, które niesie spod Gorlic siedem mil po upale, żąda piętnaście groszy. Za fujarkę trzydzieści. Ma też dużo łyżek drewnianych i wałków do ciasta. Osobny dział stanowią zabawki dziecinne, zwłaszcza malowane taczki. Przychodzi do Sącza na kilka dni, aby rozsprzedać. Wartość całego towaru wynosi dwanaście złotych, jej zarobek część trzecią tj. cztery złote. Jest dumna, że jej „borgują", że ma na wsi zaufanie, inaczej nie mogłaby wyżywić dzieci, bo jest wdową. Dwoje starszych jest w służbie u gospodarzy — ale jedzą „postne" i pieniędzy nie biorą, jeden w Sączu „u księży", czworo w domu. Dzieci urodziła osiemnaścioro, ale jedenaścioro umarło i wszystkie w „latach". Wyrosną ładne, wesołe, ludzie ich lubią, a dojdą do lat — umrą.

Ponieważ następuje transakcja, kobieta zestawia kosz na ziemię, przysiada obok, zdejmuje towar z druta. Ma chudą, kostną, ciemną twarz, wspaniałe oczy brązowe. Opowiada. Jej mąż, który umarł, też wyrabiał łyżki, wieszadła, wałki. Nie był zły człowiek. Nie pił dużo, czasami jaki kieliszek. Ale i to jej było żal. Bo dzieci jadły postne, nie było im czem kiszek posmarować. „Sprał mnie jeszcze zawsze po pysku, że tylko płodzisz. Com ja winna. Mówi: a dlaczego tyle z chłopem też śpi, a dzieci nie ma? To mu mówię, bój się Boga, człowieku, za co bijesz, przecież dziecko urodzić to nie cukierek zgryźć".

Siedzi na ziemi w skwarze słonecznym. Na głowie ma ciężką czarną chustkę, zawiązaną pod brodą, jej ciemna twarz spocona świeci się jak metalowa. Mówi tak: „Jedno jeszcze siedzieć nie umie, a drugie już za pasem. To żeby nie tracić na kobietę, sama przyjmowałam. Pierwsze siedem nie, ale potem te jedenaście sama przyjmowałam. Zakażenia nie miałam, wstałam zdrowa. Krew ze mnie leciała, ale przy żarnach stanęłam kręcić i nic".

Tak się rodziły te dzieci, a później umierały. Ostatnia dziewczyna, jak umierała, miała piętnaście lat. Ale we łzach mówi tylko o jednym, który umarł przed tamtą, w wieku lat dwudziestu i półtora. Bo ten miał piękną śmierć. Chorował tylko trzy tygodnie, na kaszel, jak wszystkie. Był wesoły w oczach, ale sechł. A jak już miał umrzeć, to kazał jej, żeby go ubrała do trumny. Wzięła szmaty, umyła go, ubrała. Sam przypominał: A spodnie ma mama da? „Dam, dam, sam je sobie kupiłeś". A kapelusz? „Dam". Jak już był ubrany, siedział na łóżku i czekał spokojny, że mu niczego do trumny nie zapomną. Wtedy się rozpłakała i powiedziała mu: „Synku, myślałam, że ty mnie do grobu odprowadzisz, a to ja ciebie będę prowadzić". A on mówi: „Dziękuję ci mamo za dobre słowo. Módl się za wszystkich, co mi przynosili jeść, żeby długo żyli". I położył się, i umarł. To ksiądz powiedział, że to wielka łaska Pana Boga taka lekka i przytomna śmierć".

Rozeszłyśmy się, każda w swoją stronę. „Trudny życiorys" — pomyślałam o niej tytułem książki Czuchnowskiego. Jest mocna i będzie jeszcze tak długo chodziła od Gorlic do Sącza ze swoim towarem póki najmłodszych czworo nie dochowa do lat,

(CIĄG DALSZY NA STR. 6)

Między Dunajcem i Kamienicą

(CIĄG DALSZY ZE STR. 5)

w których będą już mogły umrzeć śmiercią lekką i przytomną.

Tę książkę Czuchnowskiego, „Trudny życiorys", mogę w pewnym sensie zaliczyć do tutejszej literatury regionalnej, powstała bowiem, jak widać z notatki pod tekstem, właśnie w pobliżu Gorlic. Czytając tutaj te awangardowe wiersze, podziwiałam, jak ściśle tzw. „tendencja" wiąże się w nich ze świadomą deformacją indywidualną, z ową paradoksalnością skojarzeń, czy ich subiektywną dowolnością, którą Irzykowski nazywa „niezrozumialstwem". Dla mnie logika wyrazu poetyckiego jest u tego autora nie tylko całkowicie zrozumiała, jest też zupełnie przekonywająca. Materiał formy, tkanka, z której jest ukształtowana, wydaje się tutaj w najwyższym stopniu nasycona zmysłową rzeczywistością, pulsacją biologiczną, ciekłością i przelewnością stanów istnienia. Szorstkość tej formy nieraz utrudnia w pierwszej chwili zgodę na dane zestawienie, zawiera zgrzyty, które jednak zatrzymują uwagę, apelują do odmiennych pokładów wrażliwości, uruchamiają nową ich sferę. Dzieje się z tem jak z nowoczesną muzyką, wobec której tylko pierwszy krok coś kosztuje, ale w następstwie opłaca się dobrze, wprowadza w odrębną dziedzinę doznań, rozszerza daleko ich zakres.

Mówię o tem dlatego, chociaż to jest wiadomo, że Czuchnowski, niewątpliwie jako talent dla tego typu reprezentatywny nie jest jednak w tym rodzaju poezji odosobniony. Tymczasem proza, ideowo jego poezji pokrewna, proza rewolucyjna, obywa się u nas bez nowatorstwa formalnego, zdaje się programowo wystrzegać wszelkiej subiektywnej deformacji — w imię poszanowania rzeczywistości, autentyczności, „czucia" z życiem. Nie wiem, czy wynika to z głębszej zasady, czy też jest przypadkowe, związane tylko z naturą poszczególnych talentów. Często jednak sprowadza się do przystania na którykolwiek z typów deformacji gotowej, do której wrażliwość odbiorcy przywykła i którą łatwo asymiluje.

Aby nie być jednostronną, powinnam powiedzieć też coś o innej książce regionalnej, która ukazała się w czasie mego pobytu w Nowym Sączu. Jest to utwór poetycki zatytułowany: „Nowy Sącz z Wszechmocy Boga, Historia Cudownego Obrazu Przemienienia Pańskiego w Kościele Parafialnym w Nowym Sączu". Znajdujemy w niej opis cudu, którego mocą, zaprzęgi wiozące ów obraz w prezencie od cara z Moskwy do króla Wacława na Węgry utknęły nad Dunajcem i nie chciały ruszyć dalej. Wobec tego król Wacław sam zjechał na miejsce i założył tu miasto Nowy Sącz. Autorką książeczki jest p. Władysława Szkaradkówna, młoda sądeczanka. Utwór poświęcony jest „Najprzewielebniejszemu Ks. Romanowi Mazurowi". Zaczyna się od słów: „O Boże ojców, który tyle razy pieczę nad nami potwierdziłeś cudem, choć serca nasze jako zimne głazy"...

Obraz, który tyle zdziałał, jest tym właśnie wizerunkiem Chrystusa z bocznego ołtarza dawnej kolegiaty Oleśnickiego i wyobraża twarz piękną, posępną, symetryczną, o oczach ciemnych i ciężkim spojrzeniu, jak u bizantyjskich pantokratów.

W tem miejscu wspomnę jeszcze o godnem uwagi zjawisku hydrograficznem. Z najwyższych okien hotelu widać było w stronie południowej leżący Stary Sącz, siedzibę odwiecznego klasztoru św. Kunegundy i wielu po niej pamiątek. Otóż płynie tam, uchodzący do Popradu, potok, który powstał na modły św. Kingi dla obracania koła pobliskiego młyna.

Zakończyć chcę pochwałą plaży nad Dunajcem, chociaż nie jest lepsza od nicejskiej, gdyż jak tamta składa się z ławicy płaskich, starannie otoczonych jasnych kamyków, które chrzęszczą i grzechoczą pod nogami, a od wody robią się ciemne jak ziarna kawioru. Po całodziennem pisaniu w hotelu spędzam tam wszystkie prawie moje samotne wieczory. Ostatniego dnia, który od rana był pogodny i bardzo upalny, wybrałam się tam jedną z prowadzących od parku na wybrzeże odrutowanych grobli. Niebo poza mną całe zabudowane ciężkiemi chmurami, które z niebeskich i mlecznych robiły się prędko czarno-granatowe i podnosiły się coraz wyżej w moją stronę. W ostatniej chwili dopadłam plaży i w wzniesionym na palach drewnianym budynku obok rozbieralni znalazłam schronienie przed ulewą. Cała frontowa ściana małej kawiarni z tarasem rozsuwa się w obie strony, aby tutejszem zwyczajem odsłonić oczom widok na wzburzoną rzekę w dole i czarno-słoneczną scenerię nieba. Ulewa nie ustaje, potoki wody na czerni chmur, oświetlone z boku słońcem, leją się jak strugi srebra. Świat zmienia się co chwila, nagie góry jaśnieją od słońca w bladą niebieskość, dymią światłem rozproszonem, granatowe ciemności i jasność zielona przesuwają się po wielkim krajobrazie, w mrokach ukazują się pojedyncze złote drzewa, smugi lasów i łąk, niskie gaje. Robią się bliższe i dalsze, zalane migotem deszczu, przesłonięte odwróconym wachlarzem matowych hagiograficznych promieni. „Tu powinno być oko trójkątne" — mówi ktoś. „Albo gołąbek". Na patefonie, nie tracąc czasu, kręci się dysk z muzyką — o dziwo! Beethovena. Nagle pojawia się słońce, uderza w świat jaskrawą, skondensowaną rzeczywistością barw, a potem znów cofa się za chmury i wysyła stamtąd przez luki te materialne: płaskie, matowe promienie, jak belki światła. Deszcz ustaje, widok przeobraża się, wciąż rusza, przesuwa, dziwniejąc „jak scena obrotowa".

Na krawędzi brzegu ponad plażą — na tle wzburzonej płynącej wody i rozjaśniającej się głębi krajobrazu ukazuje się z wolna z lewej strony na prawą przechodzi dwóch ludzi, ciemnych, drobnych, dokładnie obwiedzionych konturem przestrzeni. Później na to miejsce nadchodzi z lewej strony ciemna krowa, za nią czarne barany. Idą kantem brzegu w prawo, jakby umyślnie tu wysłane dla odegrania tej roli w obrazie. Dwa barany nagle stają naprzeciw siebie w doskonałych profilach czarnych cieni na świetle, doskakują do siebie, bodą się rogami, urządzają w najlepszej wierze to groteskowe widowisko — jak wycięte z czarnego papieru i nalepione na ruchomy, granatowo-niebieski, kłębiący się mgłami ekran ziemi i nieba. Jeszcze z lewej strony nadchodzi za niemi mała dziewczynka z gałęzią, w zmoczonej płachcie — także czarna i płaska — zamierza się ręką, uderza gałęzią i rozpędza pantomimę. Krowa i barany odchodzą na prawo, słońce gaśnie, widowisko jest skończone. Deszcz już nie pada, można wracać do miasta.

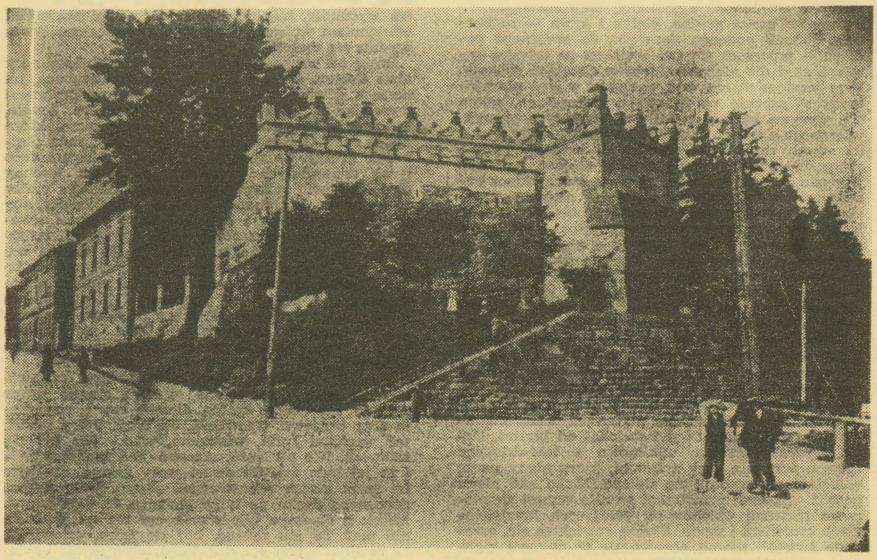

(Reportaż ZOFII NAŁKOWSKIEJ drukowany w roku 1935 w „Wiadomościach Literackich" udostępniła nam pani Wanda Straszyńska-Skrzeszewska. Zachowaliśmy osobliwości pisowni sprzed 46 lat).

Adam Garbicz

Czas odkryć te barwy

Koniec milczącego tolerowania białych plam naszych dziejów na stronach książek i podręczników: przywrócenie Polakom, szczególnie najmłodszym, pełnej wiedzy i pełnej świadomości historycznej jest potrzebą z tych najpilniejszych. Akcja rozwija się z należytym impetem i cieszy ludzi myślących. Wszelako chodzi w niej o naszą historię powszechną; a to jeszcze nie wszystko. Równie dotkliwe braki mamy bowiem w świadomości kulturowej, w wiedzy o tym, co tworzy dziedzictwo Polski na poszczególnych jej ziemiach; jak przedstawiają się powikłane dzieje regionów kraju — szczególnie w pobliżach granic, gdzie splatało się wiele wpływów etnicznych. Zapisano to w książkach? Owszem, zapisano. Ale owa wiedza jest praktycznie niedostępna, niechciana i ciągle niedoceniona. No cóż może inni mieli większe potrzeby swojej identyfikacji — choćby Murzyni amerykańscy i w ogóle mieszkańcy Stanów Zjednoczonych — więc prędzej doszli do rozeznania, jak wiele w ich życiu waży różnorodność pochodzenia, dziejów, obyczajów. Ale ta wiedza wzbogaca każdego. Czas ją odkryć.

Jak? Czy upchnąć do i tak już przeładowanych programów szkolnych? Bynajmniej. Nie chciałbym, by swe poznanie było kolejnym nużącym obowiązkiem. Co zaś jeszcze ważniejsze — trzeba to zrobić dla użytku powszechnego, najpowszechniejszego, i tak komunikatywnie, jak jest to dziś możliwe. Zatem: poprzez obraz filmowy.

Oczywiście, że można wykorzystać bogactwo pejzażu, folkloru i wydarzeń z przeszłości do ozdabiania kinowych opowieści fabularnych: od dawna tak czyniono, zapisując w pamięci widzów historyczne kształty i barwy. Często zresztą przyprawiano przy okazji minioną rzeczywistość — lub wręcz ją fałszowano dla efektu. Czasami udawało się pięknie oddać to, co wierne i ważne w świadomości narodowej: jeszcze w latach trzydziestych zasłynęli podobnymi obrazami nasi sąsiedzi z Południa — Czesi, Słowacy i Morawianie. Polscy filmowcy natomiast marnowali okazje, przynajmniej jeśli chodzi o region od Orawy po Beskid Niski i od Tatr po Gorce; pisałem już o tym niegdyś w „Ziemi nie przedstawionej".

Można też zapisywać krajobrazy, obyczaje, dzieła rąk ludzkich i rekonstrukcje pamiętnych wypadków w krótkich filmach dokumentalnych; czyni się to, czasem bardzo udanie, lecz dla ilu widzów? Znając sytuację w rozpowszechnianiu mogę stwierdzić: niestety, proszę państwa, archiwistyka. W każdym razie znacznie bliżej do archiwistyki, niż do przekazu powszechnego, zapadającego w świadomość ogółu.

Taki przekaz daje telewizja. Nie trzeba chyba uzasadniać, dlaczego największe możliwości wiążą się z wykorzystaniem małego ekranu. Problem tylko w wyborze formy przedstawiania.

Otóż nie trzeba szukać niczego nowego: pomysł już wprowadzono w życie we francuskim cyklu o słynnych bitwach i w jego kontynuacjach formalnych — serialach o miastach i rzekach. A więc? A więc widzi mi się telewizyjna panorama dziejów ziem polskich, ale nie od strony ich udziału w głównym nurcie historii kraju, lecz z zaakcentowaniem odrębności rozwojowych, własnego dorobku kulturowego, wszelkich — właśnie — nietypowości, pasjonujących ciekawostek i niechby nawet wygasłych zjawisk lokalnych. Wielu mamy ludzi, którzy mogliby z miłością oprowadzić po ścieżkach przeszłości etnograficznej i kulturalnej swoich ziem. Wiele mamy szczegółów historycznych, które wartałoby tą drogą odkryć wszystkim mieszkańcom kraju: najlepiej poprzez żywy obraz, rekonstruujący zamierzchłe wydarzenia.

Chyba nie przesadzę, że ziemie województwa nowosądeckiego wniosłyby do takiej panoramy szczególnie dużo barw: przecież tędy właśnie przebiegały szlaki rozwoju cywilizacyjnego, tu zderzały się kontrastowe wpływy kulturowe, mieszkańcy tych stron przeżyli sporo skomplikowanych zwrotów historycznych. O szczegółach pisze Antoni Kroh w „Panoramie naszej kultury"; ja spytam tylko retorycznie: czy warto je zarejestrować bądź wskrzesić w obrazie? Bo dokumentacja faktów i autentyki w muzeum — to jeden obowiązek; ale jest jeszcze konieczność żywego spopularyzowania. To drugi obowiązek.

Tak pomyślny cykl telewizyjny kryje zresztą dalsze możliwości: wykorzystania wzmożonego zainteresowania Polską i przedstawienia naszego dziedzictwa za granicą. Z podwójną korzyścią, bo jestem pewny, że także materialną. Jeśli zostanie to zrobione z polotem.

Czas pomyśleć o Polsce większej, niż ze standardowych podręczników. Ona była i jest. Trzeba tylko starannie się w nią wpatrzeć.

WITAMY, CZYM CHATA BOGATA...

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

Miłość do ojcowizny

„Oto od wschodu kultura łemkowska, rusnacka, spadkobierczyni wołoskiej, falująca śpiewem „dumanych" melodii, przewrażliwiona obrzędami, zwyczajami, tradycją, a także prasłowiańską pracowitością i szczodrobliwością.

Od zachodu kultura podhalańska, butna w swej ślebodzie, dzwoniąca ciupagami, w doliny patrząca orlim wzrokiem i wyostrzonymi jastrzębia pazurami. Patrząca na innych hyrnie i podufale.

Z południa kultura spiska, wystrojona w lajbiki ze świecącymi guzikami, na portkach w czerwone biskupich pachołków lampasy, w huzarskie ośminy wyszywań, także w słowackie nuty, czardaszowskie i hajduckie tańce, wierzenia jadące na czarnoksiężnickim smoku, z czarami i gusłami.

A z północy od Lachów, Polaków — bo tak Pienińscy nazywają Sądeczan — szło przywiązanie do ziemi, miłość do ojcowizny, zaradność i gospodarność łączona z oszczędnością".

Tymi oto słowy gazda Michał spod Dzwona Słowik, szczawnicki góral, poeta, malarz i społecznik scharakteryzował od korzeni różnorodną, prastarą, narażoną przez wieki na obce wpływy, opierającą się im, ale otwartą na nowinki, bogatą kulturę południowych rubieży Rzeczypospolitej.

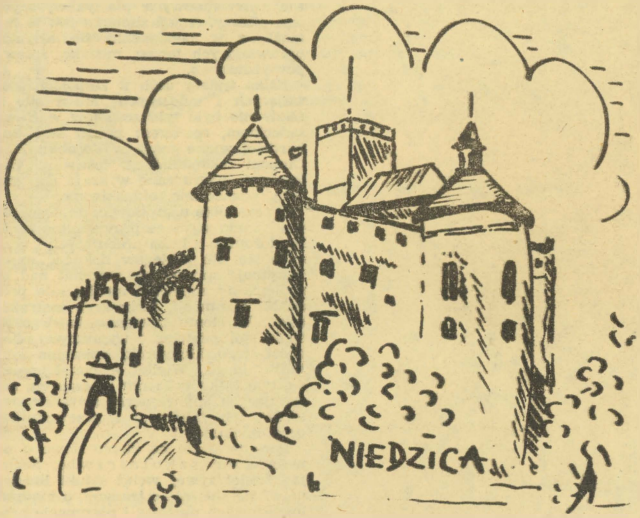

Spróbujmy rozejrzeć się w tym dziedzictwie wzbogaconym tak wyraźnie w naszych czasach, ale przecież nadal swojskim, związanym z podglebiem tradycji. Spróbujmy najbardziej choćby skrótowo z refleksji o utalentowanych ludziach i współczesnych inicjatywach kulturalnych, z opisu niektórych zjawisk i faktów — zbudować obraz kultury regionu, który miał własnych Sabałów i równocześnie potrafił zawładnąć sercami przybyszów. Od Staszica, Goszczyńskiego i Pola poprzez Żeromskiego, Szymanowskiego, Makuszyńskiego aż do Iwaszkiewicza widać jak polskie Południe fascynowało wybitnych twórców narodowej kultury. Brali stąd wiele i pięknie się odplacali za gościnę dziełami mądrymi i prawdziwymi.

Nie ma już tamtego Podhala, którego nędzę wstrząsająco przedstawiał Jalu Kurek w powieści „Grypa szaleje w Naprawie". Nie ma komorników Orkanowskich. Przezwyciężyliśmy ostre konflikty powojenne opisane przez Władysława Machejka w „Rano przeszedł huragan"; pojawiły się nowe, równie dramatyczne.

W jakim stopniu socjalistyczne przemiany objęły obszary kultury? Jakie wartości ostały się procesom cywilizacji, która obok wielu zalet niesie przecież unifikację nie zawsze służącą kulturze? Czy nowe nadal wyrasta tutaj z przeszłości?

Mimo wielu nieprzezwyciężonych zaniedbań odpowiedź na te pytania będzie optymistyczna: **rozszerzył się poważnie krąg ludzi uczestniczących w dobrodziejstwach kultury, nie jest ona ozdobą życia, lecz jego treścią, integruje społeczeństwo, uczy patriotyzmu, z pietyzmem kultywuje tradycję.**

Bogactwo naturalne

Nie tylko urozmaicony krajobraz przyciąga tutaj od dziesiątków lat przybyszów. Obok walorów naturalnych słynie ta ziemia talentami swych mieszkańców. Wystarczy zatrzymać się na chwilę na rynku Starego Sącza, spojrzeć na zamek Piastów i Jagiellonów w stolicy województwa, wejść między górali w Witowie, lub odwiedzić Łącko w czas kwitnienia jabłoni, by zorientować się jak bogate i zróżnicowane zjawiska kulturowe występują w Nowosądeckiem po dziś dzień.

Są tu pomniki architektury epok odległych: warowne zamki Czerszytyna i Niedzicy, mieszczańskie kamieniczki, stare klasztory, place handlowe, ale także zabytki budownictwa chłopskiego, wsie o tradycyjnym układzie przestrzennym, drewniane wille Krynicy i kolejarska kolonia domków robotniczych w Nowym Sączu. Nie tylko w muzeach i skansenach przetrwały dowody żywotności kulturalnej Nowosądeckiego. Na każdym niemal kroku uderza przybysza odrębność tutejszego budownictwa.

Podobnie jest z gwarą. Mimo postępujących procesów cywilizacyjnych bez trudu stwierdzamy zróżnicowanie języka i to nie tylko podczas żywych tu jeszcze obrzędów ludowych. Inaczej mówi pieniński flisak, inaczej podegrodzki Lach, a jeszcze inaczej chłop spod Limanowej.

Ostała się rozmaitość stroju, choć są to pewnie lata ostatnie dla bukowych portek, kierpców i barwnych spódnic.

Tworzą ludowi artyści. W rzeźbie i w malarstwie jest to region wyjątkowo przez naturę wywianowany w talenty. Złote ręce rzemieślników czynią cuda w metalu, skórze i drewnie. Chodzą po wsiach kolędnicy, sławne są chłopskie wesela, te rozśpiewane, roztańczone mini-festiwale sztuki...

Rodzima kultura wyrastająca z chłopskiego, plebejskiego pnia — od pokoleń kształtuje obyczaje, moralność i postawy ludzi żyjących i pracujących tutaj. Nie byłoby tylu inicjatyw awansujących gospodarczo i społecznie Podhale i Gorlice, Limanową i Nowy Sącz, Szczawnicę i Krościenko, gdyby nie twórcza rola kultury. To ona wyzwala stale innowacyjne postawy, łączy ludzi wokół śmiałych zamysłów, rozbudza potrzeby i ambicje.

Paszyn

Oto pierwszy z brzegu fenomen kulturowy naszego regionu. Maleńka wieś położona w pobliżu Nowego Sącza, o której pisze się dzisiaj rozprawy naukowe.

Rzeźbi tu i maluje kilkadziesiąt osób,

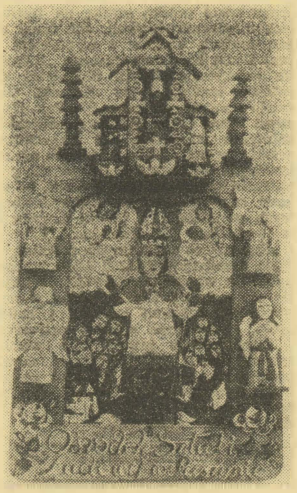

a najzdolniejsi spośród nich doczekali się nobilitacji w konkursach współczesnej chłopskiej plastyki. Czynnikiem sprawczym raptownego zwrócenia się tej wsi ku sztuce był **ksiądz Edward Nitka**, chłopski syn spod Gorlic, który objąwszy parafię biedną, cierpiącą na kompleks niższości wobec sąsiednich wiosek, postanowił pobudzić ambicje swoich parafian właśnie poprzez odwołanie się do ich indywidualnych zdolności. Umiejętnie pokierował pierwszymi próbami głuchoniemego, Wojciecha Oleksego; namówił następnych, chwalił przynoszone na plebanię najbardziej nawet nieporadne prace.

W roku 1972 działało już tutaj pięciu rzeźbiarzy. Ich start w Konkursie Współczesnej Rzeźby Ludowej Karpat Polskich zakończył się sukcesem — paszyniacy zdobyli wszystkie główne nagrody. A kiedy telewizja pokazała Wojciecha Oleksego i jego prace, kiedy ukazały się życzliwe recenzje prasowe — wieś przestała traktować swych artystów z lekceważeniem. Pojawiła się u ludzi chęć spróbowania własnych sił. Mężczyźni i chłopcy złapali za koziki. Ksiądz gromadził dłubane w drewnie figurki, a dla dziewcząt sprowadził sądeckiego artystę, **Franciszka Palkę**, który wtajemniczył je w technikę malowania na szkle.

Dziś w Paszynie znajduje się jedna z najbogatszych w Polsce kolekcji chłopskiej plastyki. Ilość twórców wciąż rośnie, przybywa nagród, przyjeżdżają znawcy ludowej sztuki, a ksiądz Edward Nitka skrupulatnie gromadzi opinie przybyszów, tworzące już kilka grubych tomów. **Idea uczłowieczenia ludzi poprzez sztukę stała się faktem.** I dlatego z pełnym przekonaniem można mówić o paszyńskim fenomenie.

Zakopiański festiwal

Sztuka, która nie ma okazji do konfrontacji z publicznością, która nie jest pokazywana — więdnie. Dotyczy to zarówno teatru jak i fotografiki, amatorskiego zespołu tanecznego jak i artysty-plastyka. Pięknym przykładem potwierdzającym owocność poddawania dorobku twórczego okresowym przeglądom może być międzynarodowy festiwal folkloru w Zakopanem. Jest on najbardziej ambitną artystycznie konfrontacją góralskiej kultury w świecie. Ten zasłużony komplement daje wyobrażenie o talentach organizatorskich i pasji zakopiańskich działaczy, którzy potrafią co roku sprowadzić pod Giewont najlepsze zespoły, jakie tańczą i śpiewają w górach między Atlantykiem a Kaukazem, między Norwegią a Sycylią. Z czasem zaczęły się pojawiać w Zakopanem także zespoły z innych kontynentów.

Wysokie kryteria artystyczne, stale doskonalony regulamin, odrzucenie względów komercjalnych, premiowanie autentyzmu, fachowość i obiektywizm ocen ferowanych przez jury, wreszcie serdeczna atmosfera tworzona przez gospodarzy i masową widownię — uczyniły z tej imprezy wydarzenie najwyższej klasy.

Pierwsza dekada września, rozśpiewana i roztańczona, swojska i zarazem egzotyczna, przebiega w Zakopanem w atmosferze świeckiego misterium, pełnego zauroczenia sztuką i refleksją o korzeniach ludowej kultury. Towarzyszą prezentacji folkloru przeróżne wystawy, wizyty w pracowniach licznych tutaj plastyków, naukowe seminaria, dyskusje publicystów, góralskie posiady z udziałem podhalańskich pisarzy i gawędziarzy, poetyckie konkursy, towarzyskie spotkania, a nawet wycieczki w góry ku tatrzańskim szałasom i halom, gdzie rodził się i rozbrzmiewał autentyczny folklor.

Żywy, dynamiczny festiwal zakopiański boryka się z rozlicznymi trudnościami, pochłania wiele sił, ale nikt rozumny nie zakwestionuje jego sensu, gdyż nie jest to tylko odświętny fajerwerk, lecz przemyślana, owocna forma mecenatu nad tradycją kulturową, stymulująca tworzenie i rozwój folkloru ludzi gór.

Zakopane imponuje zresztą wieloma innymi przedsięwzięciami. Znakomity rezonans zyskują tu Dni Muzyki Karola Szymanowskiego. Po wieloletnich staraniach prężnego grona melomanów pozyskano dla kultury narodowej obiekty, w których tworzył kiedyś wybitny kompozytor. Dowodem pamięci i hołdem dla jego dzieła jest wprowadzenie do nich muzyki Szymanowskiego w najlepszym wykonaniu.

Silny ośrodek zakopiańskich artystów-plastyków organizuje głośne Salony Marcowe. Tworzy tutaj wybitny fotografik **Władysław Werner**. Na głośnych Czwartkach Literackich w zakopiańskiej bibliotece od lat występują czołowi polscy pisarze. Klub Międzynarodowej Książki i Prasy, ogólnopolskie Konfrontacje Kabaretowe, Przegląd Filmów o Sztuce, turniej recytatorski literatury romantycznej imienia Cypriana Kamila Norwida, periodyk „Podtatrze", inicjatywy wystawiennicze oraz konkursy organizowane przez Muzeum

(CIĄG DALSZY NA STR. 8—9)

(CIĄG DALSZY ZE STR 7)

Tatrzańskie — dowodzą, że nawet w ośrodku ubogim pod względem infrastruktury kulturalnej można zrobić wiele, jeśli zaktywizują się prawdziwi animatorzy sztuki.

Imprezy

Czynnikiem dynamizującym życie ośrodków miejskich regionu, uzdrowisk i gmin stały się doroczne Dni Gorlic, Limanowej, Piwnicznej, Święto Poezji Góralskiej w Rabie Wyżnej, Jarmark Podhalański w Nowym Targu czy Festyn z „Dziennikiem Polskim" w Krynicy.

Wśród imprez specyficznych dla Nowosądeckiego, mających długą tradycję i zaprzysiężonych zwolenników wspomnieć warto Święto Kwitnącej Jabłoni w Łącku, kolebce podkarpackiego sadownictwa. W drugiej połowie maja łącki amfiteatr rozbrzmiewa ludową muzyką, tańczą gościnnie najlepsze zespoły góralskie, przyjeżdżają artyści z innych ośrodków sadowniczych.

Natomiast pod koniec września Szczyrzyckie Owocobranie, będące świętem plonów, wieńczy wysiłek sądeckich rolników również mocnym akcentem artystycznym.

Święto pasterskie na Orawie, Sabałowe Bajania w Bukowinie Tatrzańskiej, Lato Pienińskie w Szczawnicy i Krościenku, Poroninskie Lato, Złota Jesień Popradzka, Babiogórska Jesień na Orawie, Limanowska Słaza, Święto Gwarków w Gorlicach — sięgają po stare obrzędy pasterskie, gromadzą gawędziarzy, instrumentalistów, pokazują wyścigi flisaków lub skok przez skórę, pasowanie na prymistę i honielnika, są okazją dla kolejnych spotkań kapel i zespołów tanecznych, paradą barwnych strojów, kiermaszem i festynem...

Podobnie jak w całym kraju i tutaj organizuje się imprezy związane z ważnymi wydarzeniami historycznymi i rocznicami. Majowe święto kultury, Nowosądeckie Dni Przyjaźni, Sądeckie Dni Literatury, Dni Filmu nasycone są wszakże kolorytem lokalnym, przez co lepiej służą swym programowym założeniom, ponieważ odwołują się do emocji mających długi rodowód i tradycję.

Koncerty muzycane na sądeckim Ratuszu i Zimowe Dni Krynicy, przegląd teatrów regionalnych w Czarnym Dunajcu i kapel podhalańskich w Nowym Targu, przegląd piosenki harcerskiej i żołnierskiej, Karpacki Festiwal Zespołów Dziecięcych w Rabce i sądeckie Wieczory w Muzeum, Festiwal Arii i Pieśni imienia Jana Kiepury w Krynicy i konkurs haftu w Limanowej — to cząstka zaledwie przedsięwzięć zawodowych placówek kultury, społecznych stowarzyszeń, związków zawodowych, administracji państwowej i gospodarczej.

Teatr w uzdrowisku

Był rok 1949. Gruźlica zbierała jeszcze śmiertelne żniwo. W rabczańskim zespole sanatoriów znalazła się wtedy grupa pedagogów i lekarzy, którzy rozumieli, czym dla chorego dziecka może być obcowanie z baśnią, ze sztuką dającą radość i wzruszenie. Tak powstał amatorski teatr lalkowy rychło przez dzieci nazwany „Rabcio Zdrowotek".

Zaczęło się od premiery baśni Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi". Z czasem zespół utalentowanych entuzjastów, mający w swych szeregach **Jerzego Koleckiego**, artystę-plastyka i **Dorotę Stojowską** z powodzeniem piszącą i reżyserującą widowiska, sięgnął do góralskiego folkloru z niespodziewanymi rezultatami: spektakle „Hej, idem w las" oraz „O Zwyrtale Muzykancie" (wg Kazimierza Przerwy Tetmajera) długo nie schodziły z afisza.

Równolegle — już w latach pięćdziesiątych — rabczański teatr zaczął swe sławne wyprawy (furmanką, koleją, autobusem) do podhalańskich wiosek. Dla tysięcy dzieci w Poniecach, Grywałdzie czy Niedźwiedziu była to pierwsza w życiu okazja, by zobaczyć teatr.

Chlubna służba dzieciom chorym w samej Rabce i wzbogacenie życia kulturalnego regionu spowodowały, że społeczny rezonans wokół pasjonatów skupionych w „Rabciu" zawsze był znakomity. Doskonalili swe umiejętności, zdawali egzaminy kwalifikacyjne i wreszcie w roku 1971 Ministerstwo Kultury i Sztuki nadało teatrowi status państwowej placówki zawodowej.

W ciągu przeszło 30. letniej działalności zespół zdobył szereg liczących się nagród krajowych i z powodzeniem reprezentował polską sztukę na festiwalach międzynarodowych. Już drugi milion małych widzów z wypiekami na buzi śledzi baśniowe misteria „Rabcia". Na emeryturę odszedł długoletni kierownik teatru, Jerzy Kolecki. Jego dzieło kontynuuje **Irena Józefiak**. Natomiast wciąż nie udało się rozwiązać lokalowych kłopotów tej najmniejszej polskiej sceny. Rabka nadal nie ma stosownego obiektu kulturalnego. Nie przemilczam tej wstydliwej kwestii, bo stanowi ona cząstkę tych kilkupokoleniowych zaniedbań, z jakimi boryka się województwo nowosądeckie.

„Rabcio" to przeszło 50 premier, tysiące przedstawień, 1200 lalek wykonanych we własnej pracowni, nie dający się zmierzyć i przecenić udział w przywracaniu dzieciom zdrowia i radości życia, autentyczne sukcesy artystyczne i równocześnie prymitywne warunki egzystencji. Z tym większym szacunkiem trzeba spojrzeć na trud zespołu, który zyskawszy profesjonalną nobilitację zachował społeczną pasję z lat działalności amatorskiej.

Tradycje robotniczej kultury

Od przeszło stu lat znaczącym elementem nowosądeckiego krajobrazu są kolejarze. Dzięki tutejszym Warsztatom przyszła w tę część Galicji kultura techniczna i polityczna. Z dobrowolnych składek robotniczych w okresie zaborów i w pierwszych latach niepodległości powstały obiekty użyteczności publicznej umożliwiające działalność ważnych dla edukacji ludzi pracy instytucji. Szkoła imienia króla Władysława Jagiełły, Dom Robotniczy, klub sportowy „Sandecja", orkiestra kolejarska, Dom Kultury, Towarzystwo Dramatyczne, Uniwersytet Robotniczy — wystawiają piękne świadectwo poprzednim pokoleniom sądeckich kolejarzy.

Większość tamtych inicjatyw kulturalnych i oświatowych znalazła zresztą kontynuatorów. Jedną z najciekawszych jest Teatr Robotniczy noszący imię Bolesława Barbackiego, artysty i społecznika zamordowanego przez hitlerowców. Pierwszy spektakl odbył się jesienią 1922 roku. Duszą zespołu był **Stefan Turski**, człowiek utalentowany artystycznie, organizator i pasjonat pracy społecznej. Wśród 132 premier okresu międzywojennego znalazły się wodewile, komedie, ale także „Matka" Gorkiego, „Śmierć Okrzei" Bakali, „Sędziowie" Wyspiańskiego czy „Dom kobiet" Nałkowskiej.

W grudniu 1945 roku robotniczy teatr grający dla robotniczej widowni wznowił działalność. W następnym roku wystawiono „Wesele" Wyspiańskiego. Ostatnią premierą zespołu, który przeniósł się do Domu Kultury Kolejarza — była „Premia", ostry, współczesny spektakl reżyserowany przez Agatę Konstanty.

W regionie tak bogatym w folklor i sztukę ludową nie można przeoczyć i tego nurtu, który zrodził się w środowisku robotniczym. Poza Nowym Sączem wystąpił on najwyraźniej w Gorlicach. Dziś obok „Glinika" i Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego przodują w działalności kulturalnej zakłady pracy zbudowane już w latach Polski Ludowej: nowotarski kombinat obuwniczy i Sądeckie Zakłady Elektro-Węglowe. Mecenat przemysłu umożliwił realizację wielu nowych inicjatyw, powstały dzięki niemu zespoły artystyczne, kluby, grupy twórcze i zakładowe domy kultury otwarte dla całego społeczeństwa.

Legion artystów

Nie piszę o **Jalu Kurku**, którego wiersze, powieści i opowiadania są powszechnie znane. Ten wybitny pisarz podzielił swe serce między Kraków i Podhale, ale i tak owa połowa jego twórczości górskiej dziedzinie poświęcona wymagałaby osobnego rozdziału. Nie można natomiast w paru przynajmniej zdaniach nie odnotować twórczej obecności w regionie kilku setek (a może tysięcy?) chłopskich artystów.

Tak jak za **Hasiorem** i **Kawalcem** należałoby umieścić dalszych artystów-plastyków i pisarzy — zwłaszcza z żywego ośrodka zakopiańskiego — tak obok **Eweliny Pęksowej** trzeba by wymienić **Zofię Gąsienicę-Roj**, **Władysława** i **Zdzisława Walczaków**. Obok **Janosa — Stanisława Hołdę**, **Andrzeja Biernacika**, **Andrzeja Gombosa** z Jurgowa, który wychował wielu uczniów.

W licznej gromadzie pisarzy ludowych, spośród których odeszli na zawsze tak wybitni jak **Stanisław Nędza-Kubiniec** i **Andrzej Skupień-Florek**, **Adam Pach** i **Michał Słowik-Dzwon** wyróżniają się **Wanda Czubernat** — poetka i utalentowana działaczka kultury z Raby Wyżnej; **Hanka Nowobielska** z Białki Tatrzańskiej pisząca wiersze zarówno gwarą jak i językiem literackim; **Antonina Zachara-Wnękowa** z Rabki — poetka, autorka bajek dla dzieci i obrazków scenicznych; **Stanisław Gąsienica Byrcyn** ze sławnego rodu tatrzańskich ratowników — autor poetyckiego tomiku „Myśli juhasa" oraz kolęd.

WITAMY,

Genie na Podhalu kowalstwo artystyczne. Z tym większym uszanowaniem trzeba docenić mistrzostwo **Władysława Gąsienicy-Makowskiego**, którego kuźnia jest nie tylko warsztatem, lecz także ośrodkiem życia towarzyskiego, bo mistrz cieszy się ogromnym autorytetem; **Bronisław Cukier** i **Mieczysław Biernacik**, działacze Stowarzyszenia Twórców Ludowych, również kultywują piękną sztukę wykuwania różnych kształtów z żelaza.

W Starym Sączu **Ludwik Wilusz** wykonuje jeszcze czasem rzeźby ceramiczne; w Bobowej powstają sławne koronki, w Nowym Targu — kilimy i gobeliny, w Szczawnicy i Krościenku — zdobione haftem wyroby z sukna góralskiego i galanteria skórzana. A trzeba by jeszcze zauważyć meble regionalne i galanterię drzewną w Nowym Sączu i Zakopanem, zakopiańskie, nowotarskie i starosądeckie kożuchy, wreszcie pamiątkarstwo nie do reszty przecież tandetne.

Mimo kontrowersji, jakie wywołuje działalność „Cepelii", trzeba jej oddać cześć za rolę mecenasa wobec rękodzieła artystycznego. Tak jak muzea organizujące konkursy rzeźby i malarstwa, haftu i koronkarstwa pobudziły rozwój tych dziedzin ludowej sztuki, tak samo „Cepelia" stymulowała trwanie ginących umiejętności artystów-rzemieślników.

Zupełnie wyjątkowym talentem zakopiańskim jest syn chrzestny Jana Kasprowicza, **Franciszek Marduła**, kiedyś stolarz i narciarz, dziś lutnik doskonały. Wśród licznych jego uczniów wyróżnia się syn piekarza z Chochołowa, **Józef Bartoszek**, który robi cenione w świecie skrzypce wraz z żoną, jedną z nielicznych w Polsce kobiet lutniczek.

Trudno wymienić wszystkich utalentowanych ludowych plastyków, snycerzy, pisarzy. A już zupełnie jest to niemożliwe w odniesieniu do artystów uprawiających taniec, muzykę, śpiew i gawędziarstwo.

Kilka tysięcy osób w zespołach śpiewających i tańczących! Mówi się, że nigdy nie było tylu zespołów w Nowosądeckiem, co teraz: ponad sto! Najbardziej znane mają w dorobku Złote Ciupagi zakopiańskiego festiwalu. Wielokrotnie nagradzane w kraju i za granicą, odznaczane, oklaskiwane.

Warto sobie uzmysłowić, ile poświęcenia i trudu wymaga prowadzenie zespołu złożonego z ludzi pracujących i uczących się. Ile zabiegów dokonać muszą instytucje sprawujące mecenat nad zespołem, by zapewnić stroje, sale prób, środki lokomocji, fachowych instruktorów... W cieniu sukcesów każdego zespołu stoi człowiek o wyjątkowej ofiarności, jego kierownik, animator życia kulturalnego. Wielki szacunek należy się tym kilku tysiącom tańczących, muzykujących, śpiewających artystów-amatorów, ich mistrzom i przewodnikom oraz opiekunom!

Pora wreszcie na ciepłe słowo o nowosądeckim szkolnictwie. Szukając źródeł żywej wciąż sztuki ludowej mówi się słusznie o tradycji, o mądrych inicjatywach muzeów i patronacie przemysłu, o „Cepelii", spółdzielczości, związkach zawodowych, o różnych instytucjach i organizacjach... Na poczesnym wszakże miejscu należałoby umieścić władze oświatowe i bardzo wielu nauczycieli, którzy w szkołach, młodzieżowych domach kultury, ogniskach plastycznych i muzycznych, w zespołach i kółkach artystycznych wszczepiając młodym umiłowanie piękna, kultywują szacunek dla rodzimej kultury. To jest ogromne zaplecze amatorskiego i ludowego ruchu artystycznego tak dynamicznego w naszym regionie.

Obrona ojczystego krajobrazu

Zanim w języku współczesnym pojawiło się pojęcie środowiska naturalnego, kilka pokoleń artystów, uczonych i miłośników tej ziemi czyniło starania, by w świadomość narodu wszczepić przeświadczenie, że góry, lasy, rzeki, a także wtopione w ten krajobraz budownictwo — są ważną, nie tylko w sensie biologicznym cząstką polskiego dziedzictwa. Można bez przesady powiedzieć, iż papierkiem lakmusowym kultury społecznej jest stosunek do ojczystej przyrody.

W Nowosądeckiem widać nie tylko instytucjonalne wysiłki zmierzające do tego, by procesy cywilizacyjne nie za-

CZYM CHATA BOGATA...

kłóciły równowagi ekologicznej. Inicjatywy władz, architektów i urbanistów otrzymują autentyczne wsparcie społeczne: strażnicy przyrody, opiekunowie zabytków, aktyw PTTK, wędkarze i literaci, lekarze i nauczyciele — tworzą szeroki front popularyzujący pogląd, że przestrzeń, w której żyjemy, wytwory przyrody i kultury posiadają niezaprzeczalną wartość ideową, integrującą, dającą poczucie tożsamości.

Kiedy procesy industrializacji wyprzedzają działalność niwelującą negatywne skutki owych procesów, natychmiast podnoszą się głosy sprzeciwu. Tylko pozornie są to głosy destrukcyjne. Walka o oczyszczalnie ścieków, filtry i właściwe media grzewcze, podobnie jak walka przeciwko dewastacji lasów czy szpetocie nowego budownictwa — w gruncie rzeczy służy obronie wartości kulturowych regionu.

W sukurs tym dążeniom przyszła jesienią 1979 roku uchwała Rady Ministrów, która wyznaczając podstawowe funkcje Nowosądeckiego, akcentuje, iż rozwój turystyki, lecznictwa uzdrowiskowego i wypoczynku musi uwzględniać zachowanie unikalnych walorów przyrodniczo-klimatycznych oraz ochronę krajobrazu kulturowego.

Nie w gablocie muzealnej

Interesującą koncepcję ochrony zabytkowych struktur przestrzennych Podhala, Spisza i Orawy realizuje Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem. Dyrektor **Tadeusz Szczepanek** wychodzi z założenia, iż przenoszenie zabytków do gabloty muzealnej, a także przemieszczanie obiektów dawnego budownictwa do skansenów jest ostatecznością. Najlepsza nawet ekspozycja muzealna odrywa bowiem zabytek od historycznego kontekstu. Podjęto tedy próbę zachowania tradycyjnych zespołów urbanistycznych w miejscu, w którym one kiedyś powstały.

Unikalna, drewniana wieś Chochołów; szałasy pasterskie; projektowane przez Witkiewicza zakopiańskie wille; zagroda Sabały; Orawski Park Etnograficzny; ludowe budownictwo wsi spiskich; pasterska wieś Jurgów; dwór Tetmajerów w Łopusznej — to tylko niektóre elementy tego gigantycznego muzeum pod gołym niebem, które niczym nie będzie przypominać klasycznego skansenu. Ma to być żywe muzeum przestrzenne zachowujące dla potomnych barwy i piękny fragment historycznego krajobrazu kulturowego.

Pewnie trzeba będzie zgromadzić w jednym miejscu figuralne rzeźby cmentarne, nie obejdzie się bez przeniesienia co ciekawszych domów z terenów, na których dominuje już nowsza cywilizacja, niektóre obiekty zmienią swą dotychczasową funkcję (np. w dworze Tetmajerów ma się znaleźć ekspozycja poświęcona „Kolumbom Tatr") — ale wszystkie te przemieszczenia dokonują się w obrębie naturalnego środowiska, w którym powstały.

Tak pomyślane przedsięwzięcie da szansę prowadzenia tutaj w przyszłości wielkiej, poglądowej lekcji historii dla milionów. Będzie to równocześnie poligon dla badaczy ludowej kultury.

Plenerowe muzeum na Podtatrzu — a ściślej mówiąc: cała sieć małych parków etnograficznych powiązanych w spójną całość — wydaje się jednym z najciekawszych przedsięwzięć podjętych dziś na polskim Południu z poczucia patriotycznego obowiązku wobec następnych pokoleń. Ochroną obejmuje się zarówno przyrodę, dziewiętnastowieczny kształt przestrzenny architektury, jak i dzisiejsze inwestycje. Idzie bowiem nie o zachowanie wybranych obiektów, lecz o żywą obecność całych zespołów historycznych we współczesnym pejzażu.

Średniowieczna perła

Stary Sącz unikalna perła Beskidu stanowi drażliwy i trudny problem dla młodego województwa. Studium wartości krajobrazowej starosądeckiego zespołu architektonicznego przemawia za pilnym podjęciem rewaloryzacji. Historycy sztuki i konserwatorzy zabytków, a także wyjątkowo prężne Towarzystwo Miłośników Starego Sącza, zabiegają o ratunek dla uroczego miasteczka. Trwają intensywne prace koncepcyjne, wykonuje się inwentaryzację zabytkowych obiektów, czyni się starania, by nowe inwestycje nie przesłoniły sylwety historycznych budowli, by zachować skalę i klimat starych domów.

Kłopot polega na tym, że miasto posadowione w XIII wieku na owalnicy, pustoszone później pożarami, funkcjonuje na słowo honoru: żeby przedłużyć jego żywot należałoby właściwie wymienić całą jego infrastrukturę komunalną. Tu nie idzie tylko o remont starych kamieniczek czy zabytkowego klasztoru Klarysek. Potrzebne jest nowe uzbrojenie miasta w gaz, wodociąg i kanalizację. Trzeba doprowadzić energię cieplną, zbudować oczyszczalnię ścieków i obejścia komunikacyjne: jedno w kierunku Szczawnicy, drugie nad Popradem ku Piwnicznej.

Użycie ciężkiego sprzętu budowlano-remontowego jest wykluczone. Idealnym wyjściem byłoby takie zaplanowanie rewaloryzacji, by miasto mogło być rozkopane tylko raz: równocześnie dla gazyfikacji, przeprowadzenia wodociągu i zbudowania kanalizacji. Praktyka społeczna jest wszakże inna. Sukcesem kończą się raczej te przedsięwzięcia, które można przeprowadzać metodą małych kroków.

Czy państwo prowadzące odnowę zabytkowych zespołów architektonicznych na froncie tak szerokim, że aż budzącym podziw krajów o wiele bogatszych, zdoła w swój program ochrony dóbr narodowej kultury wpisać również Stary Sącz? Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Nie ulega wszakże wątpliwości, że bez pomocy całej Polski województwo nie upora się samo z tym problemem.

* * *

Pominęliśmy w tym przeglądzie zjawisk kulturowych, talentów artystycznych, inicjatyw podnoszących atrakcyjność regionu i nasycających życie wartościami moralnie pożądanymi — wiele istotnych spraw. Z konieczności zrezygnowaliśmy z przedstawienia niezwykle ważnej roli bibliotek i bibliotekarzy, zakładowych domów kultury i wiejskich klubów, ruchu związkowego, samorządów osiedlowych i wiejskich. Nasza refleksja dotyczyła wybranych problemów współczesnej kultury nowosądeckiej. W panoramę województwa wkomponowaliśmy zaledwie okruchy prawdy o twórcach, instytucjach, stowarzyszeniach i przedsięwzięciach kulturalnych.

Trzeba by tu jeszcze opisać jedyną bodaj w Polsce spółdzielnię kulturalno-oświatową imienia Franciszka Cwiżewicza w Bukowinie Tatrzańskiej, Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej imienia A. Knapczyka „Ducha" w Czarnym Dunajcu, inicjatywy ZSMP, wśród których najsławniejsze są doroczne Konfrontacje Ruchu Artystycznego Młodzieży w Myślcu nad Popradem, orkiestrę Karpackiej Brygady WOP, towarzystwa fotograficzne, zakopiański i sądecki klub literacki, towarzystwa miłośników poszczególnych miast, Klub Ziemi Sądeckiej, ludoznawców i historyków, plastyków zrzeszonych w ZPAP, amatorskie teatry, orkiestry i kabarety, sądecką „Kuźnicę", mniejszości etniczne, Radę Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych przy Froncie Jedności Narodu, Sądeckie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, zawodowe instytucje i placówki kultury.

Jest to jednak temat na obszerną książkę, a nie na artykuł. Kończę więc ze świadomością, iż wiele zjawisk i talentów pominąłem. Nowosądecka kultura wciąż czeka na swą monografię.

ADAM OGORZAŁEK

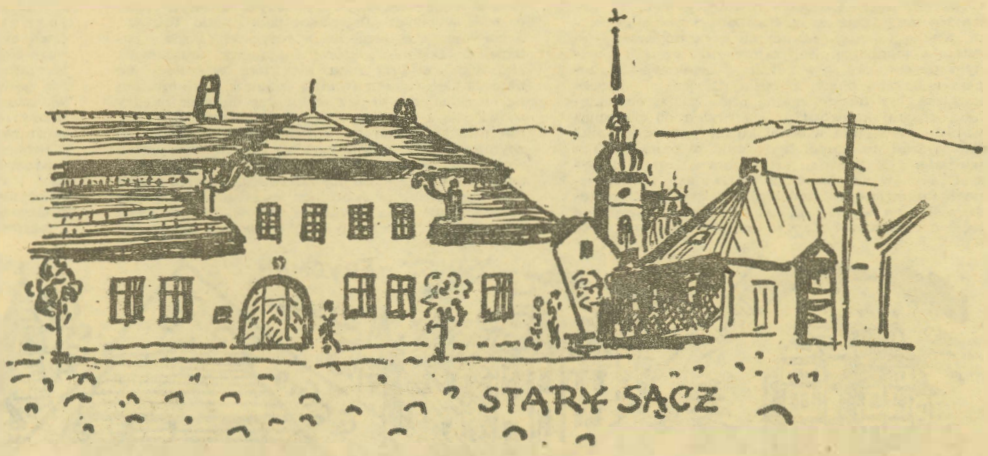

Ilustrował: **FRANCISZEK PALKA**

ANTONI KROH

PANORAMA NASZEJ KULTURY

Sześć lat temu powstało województwo nowosądeckie. Zniknęły dawne powiaty, Kraków utracił częściowo swą funkcję centrali. W nowym organizmie administracyjnym znalazły się regiony ogromnie różnorodne, zatomizowane, tradycyjnie ze sobą skłócone; Rabka nie lubiła Mszany, Nowy Targ boczył się na Zakopane. Gorlice zaś, które przedtem znajdowały się w województwie rzeszowskim, były bardzo, bardzo daleko. Nowy Sącz kojarzył się góralom przede wszystkim z sądem i więzieniem. „Co się stało z naszym naczelnikiem? Zabrali go do Sącza. O, dawno już mu się to należało!" — taki oto dowcip krążył po Podhalu i Pieninach. Szczególnie nie lubił Sącza Nowy Targ oraz rywalizująca z nim, bardzo aktywna, ale cierpiąca na pewien kompleks niższości Limanowa. Aż tu nagle ów zróżnicowany i ogromnie niespójny teren został województwem. Trzeba było podjąć próbę scalenia, zintegrowania go.

W momencie powstania województwa nowosądeckiego nie wiedzieliśmy o sobie prawie nic. Nie tylko urzędnicy, nierzadko przywożeni w teczce z drugiego końca Polski, którym nie nie mówiły takie pojęcia, jak Spisz albo Beskid Wyspowy. Również my, dawni mieszkańcy — tak się jakoś zwykle składało, że bliżej nam było do Krakowa, niż do sąsiedniego powiatu.

Aż tu nagle wszystko się pokiełbasiło. Stare układy runęły, nowe się jeszcze nie narodziły.

Myślę, byłoby rzeczą bardzo pożyteczną ogłosić konkurs na pamiętniki z tego okresu. Trzeba utrwalić pamięć o owej swoistej rewolucji kulturalnej, ze wszystkimi jej ujemnymi i dodatnimi stronami. Warto by ją kiedyś szczegółowo opisać, zbadać.

Jest to bardzo ważny moment naszej współczesnej historii. Ważniejszy, niż się potocznie sądzi.

*

Mapa naszego województwa jest aż gęsta od granic etnograficznych. Nie są to bynajmniej granice, wytyczone przez naukowców dla im tylko wiadomych celów, podług niejasnych kryteriów. Wprost przeciwnie — ich istnienie ma daleko idące konsekwencje dzisiaj, w naszym codziennym życiu, szczególnie w sferze kultury. Najważniejsze z nich, jak mi się wydaje, to zachodnia granica Łemkowszczyzny, granica lachowsko-góralska oraz granice Podhala.

Naszą kulturę współtworzyli rolnicy, pasterze, mieszczanie. Współtworzyli ją Polacy, Rusini, Żydzi, Niemcy, Słowacy, Cyganie. Nietrudno dojrzeć wpływy węgierskie czy rumuńskie. Kiście winogron, zdobiące carskie wrota naszych cerkiewek, przywędrowały z Bałkanów. Do powstania słynnego dzisiaj obrzędu koronczarskiego w Bobowej w znacznym stopniu przyczynili się Żydzi. Górale podhalańscy, orawscy, spiscy, pieninscy, sądeccy brali pełnymi garściami od swych sąsiadów Słowaków, od malarstwa na szkle poczynając, na elementach stroju czy motywach muzycznych kończąc. Wpływy niemieckie na naszą kulturę przez długie dziesięciolecia były, a właściwie wciąż jeszcze są, „gorącym żelazem" — tematem i delikatnym, i — nie z naszej winy — pokomplikowanym. O współbraciach Łemkach również głucho. Są, czy ich nie ma? Jasne że są. Straszliwie zdziesiątkowani, ale są i będą, jeszcze nie pora odprawiać im ostatnią panichidę. Zapytajmy raz wreszcie, pełnym głosem: kim są współcześni Łemkowie? Szczepem o bogatej ongiś, a dzisiaj tlejącej się jeszcze kulturze, czy też półlegalną organizacją, obywatelami drugiej kategorii? Mają prawo do pielęgnowania i rozwijania własnej kultury, czy nie mają? Kto widział np. zespół łemkowski w telewizji? (Ja widziałem. W telewizji czechosłowackiej). Kto słyszał Łemków na góralskich festiwalach w Zakopanem, Bukowinie Tatrzańskiej czy Żywcu? Czy rzeczywiście na wschód od doliny Popradu nie dzieje się nic ciekawego? Zapewniam, że dzieje się, i to dużo. Jak długo będziemy cierpieć wobec Łemków na rozdwojenie jaźni — z jednej strony zachwycając się cerkiewkami, ikonami, lansując Nikifora, eksponując łemkowskie zabytki w muzeach, zaś z drugiej strony ignorując istnienie dziedziców tej kultury i ich niezaprzeczalne prawa? Jakże to? Ktoś najwyraźniej ma cichą nadzieję, że niebawem ostatni staruszkowie powymierają, zaś młodzież wtopi się w polski żywioł. Myślę, że ten ktoś grubo się myli. Myślę prócz tego, że można być aktywnym Łemkiem i dobrym Polakiem jednocześnie.

Późną wiosną, mniej więcej pod koniec maja, czyli w miesiącu nisan, przypada żydowski Nowy Rok. Zjeżdżają wówczas do Nowego Sącza starozakonni, głównie ze Stanów Zjednoczonych. Modlą się na bobowskim i sądeckim kirkucie, ubrani w swe szaty rytualne, które jeszcze niedawno były tak związane z polskim pejzażem. Czy ktoś ich chociaż raz powitał uroczyście w imieniu mieszkańców miasta? Przecież ich modły na grobach przodków są również przejmującą manifestacją więzi z ziemią rodzinną, na której i my żyjemy. Wielokrotnie wydywałem ich pięknie rzeźbione nagrobki, tzw. szajbece, niekiedy bardzo stare — jako brukowanie chłopskich zagród, lub przerobione na bruski. Ich świętą Torę, czyli zwój pergaminowy, przechowywany z czcią w Aron Hakodeszu, widziałem pewnego razu, naciągniętą na bębenek przez ludowego muzykanta — który chwalił się, że pergamin jest bardzo wytrzymały i świetnie rezonuje. Niechaj katolik spróbuje sobie wyobrazić, co czułby, gdyby zobaczył np. krucyfiks, służący komuś jako wieszak na ubranie.

Nasza kultura — to jeden wielki tygiel, w którym przez stulecia stapiały się najróżniejsze elementy.

Czeskie przysłowie powiada, że ile kto zna języków, tylekroć jest człowiekiem. Trawestując to przysłowie: z iloma kulturami się kontaktujemy, tylekroć razy jesteśmy sobą. Nasze dzieje, to karpacka puszcza, w której rosną obok siebie buki, smreki, lipy, berezy i tannenbaumy. Dopiero taki las, a nie monokultura, to prawdziwa przyroda. Wiek XX ogromnie zubożył pod tym względem zarówno polską przyrodę, jak cywilizację. Postarajmy się to zło naprawić, na ile jest to jeszcze możliwe. A już, na Boga, nie uważajmy monokultury za powód do chwały.

*

Granica lachowsko-góralska miejscami jest już w terenie mocno zatarta, ale nierzadko wciąż jeszcze świetnie widoczna. Antagonizmy między Góralami a Lachami na szczęście bardzo już zbladły, nikt już dzisiaj nie wyśmiewa się z białych portek albo z butów karbiaków, zwłaszcza że już ich prawie nie ma; ale np. pewna góralka z Chicago, opisując w liście do matki, mieszkającej w Bukowinie, dzieje swego nieudanego małżeństwa, upatrywała przyczynę wszelkich nieszczęść w fakcie, że mąż jest... Lachem spod Sącza. „Hej, Lachy som takie'" — kiwała głową matka, kiedy czytałem jej głośno ów list — „biydne dziecko, pewnie tam naskiego chłopca nie nasła, nei coz, musiała z Lachem..." Relikty? Nie zawsze. Różnice lachowsko-góralskie w gwarze, stroju — ale co najważniejsze, w ludzkiej świadomości — nie są bynajmniej takie nieistotne; stanowią ważny czynnik kulturotwórczy. Udawanie, że nie ma sprawy, że to historie przebrzmiałe, jest po prostu śmieszne.

*

Podhale jest regionem szczególnym, również pod względem zbiorowej psychiki. Różni się ono wybitnie od terenów sąsiednich i bardzo chętnie różnice te podkreśla. Zauważył to już Seweryn Goszczyński w swym „Dzienniku podróży do Tatrów", a potwierdził dobitnie autor rozprawy „Bójki i pobicia na Podhalu", której fragmenty publikowała „Polityka" w 1973 roku, ale która w całości nie ukazała się drukiem (wielka szkoda!). Czytamy tam na przykład, jak to pewien śwarny chłopiec między spowiedzią a komunią zabił po pijanemu człowieka, nie uważając tego za grzech ciężki, i nikogo to zbytnio nie dziwiło; czytamy o przerażających reakcjach wioskowej społeczności na zabójstwa, dokonane na weselach czy zabawach. (Pewien zespół folklorystyczny, prezentujący na festiwalu wesele góralskie, uznał za niezbędne wprowadzić na scenę parę trupów i rozlać puszkę czerwonej farby, aby uprawdopodobnić spektakl — bo co to za wesele bez trupa!).

A jednak miejmy świadomość, że owo poczucie odrębności i regionalna duma, pycha nawet, owa przysłowiowa honorność, przybierająca niekiedy formy patologiczne — to najsilniejszy czynnik kulturotwórczy. Temu właśnie czynnikowi możemy przede wszystkim zawdzięczać, że kultura ludowa Podhala zdołała dostosować się do wymagań współczesności, przekształcić się, miejscami wynaturzyć — ale nie roztopić. Rzecz ciekawa — promieniuje ona i rozprzestrzenia się na regiony sąsiednie. Uwydatnia się to na przykład w stroju męskim; parzenicę podhalańską możemy napotkać również w Piekielniku, Rabce, Porębie Wielkiej, Ochotnicy, a niekiedy nawet w okolicach Łącka.

Trzeba wspomnieć także, choćby w kilku zdaniach, o specyfice kulturowej Spisza i Orawy. Podziały narodowościowe przebiegają tam nie tylko w obrębie poszczególnych zagród, ale i nierzadko w obrębie ludzkich serc. (Pewien Orawiec zwierzał mi się kiedyś z rozterki: nie wiedział, czy podczas Wyścigu Pokoju kibicować drużynie polskiej, czy czechosłowackiej). Wpływy słowackie na północnym Spiszu i Orawie, to temat wciąż drażliwy, rzadko podnoszony. Co prawda, jeszcze rzadziej podnoszony jest problem rubieży kultury polskiej na Orawie i Spiszu od strony czechosłowackiej.

Nasza kultura — to tygiel, w którym stopiły się najprzeróżniejsze kruszce. Rzeczą naukowców jest przeprowadzić uczciwą, rzetelną, możliwie obiektywną analizę owego stopu, zaś rzeczą nas wszystkich — wpatrywać się we wszystkie jego żyłki, odcienie, wspaniałe bogactwo form, i czerpać z tego siłę. A w żadnym wypadku nie wolno nam zasmarować owego stopu lakierem. Nawet, gdy jest to lakier biało-czerwony.

*

Któż dzisiaj pamięta postać Karola Potkańskiego? Ten zmarły w 1907 roku w Krakowie historyk-mediewista uczynił bardzo wiele dla kultury polskiej, a w szczególności dla naszych stron. Postawił on mianowicie tezę (absurdalną, ale jak się później okazało, ogromnie płodną), że Podhale — to ostatni, nie skażony przez obcych rezerwat kultury staropolskiej. Według Potkańskiego (naturalnie, podając rzecz w uproszczeniu) budownictwo, zdobnictwo, gwara i inne elementy kulturowe, które w II połowie XIX wieku ostały się jedynie na Podhalu, były ongiś powszechne w całej Polsce i odróżniały nas od sąsiadów. Ową ideę podchwycił przyjaciel Potkańskiego, malarz i krytyk sztuki, Stanisław Witkiewicz, który kulturę ludową Podhala postanowił rozwinąć i upowszechnić w całym kraju, rozdartym przez zaborców, odradzając tym sposobem naród poprzez sztukę. Tak powstał „styl zakopiański", który w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową spełnił istotną rolę w rozwoju narodowej świadomości.

Widzenie gór jako oazy swobody i rezerwatu staropolszczyzny miało dalekosiężne skutki dla naszej kultury regionalnej, także współczesnej; na przykład współczesnej twórczości ludowej. Wciąż oddziałuje w Polsce stereotyp Górala — pięknego, silnego i utalentowanego. Ładne — bo góralskie, o resztę nie trzeba się kłopotać. Mamy więc w naszym województwie kilkuset, a może ponad tysiąc t w ó r c ó w l u d o w y c h. Są oni w dużej części związani z przemysłem turystycznym, ale oddziałują także na swe lokalne środowiska. Stanowi to podstawową przesłankę współczesnej twórczości ludowej, wręcz warunek jej istnienia.

Drugi wielki odłam naszej kultury regionalnej, który począł się z mitu gór jako narodowego ołtarza i symbolu wolności — to przebogaty r u c h k r a j o z n a w c z y, w tym np. przewodnictwo i flisactwo, a także gawędziarstwo z nieodłącznym góralskim humorem. Pieniińscy flisacy, to świetni popularyzatorzy regionalizmu i krajoznawstwa (naturalnie, jeśli im się chce). Przejęli oni — co prawda, w ograniczonym zakresie — styl dawnych przewodników: pewną familiarność, dumę lokalną, niepowtarzalny sposób wysławiania się.

Dzisiejsi przewodnicy — a mamy ich w województwie bardzo wielu — to już nie dawni Gąsienice i Zachwieje, którzy starali się o pobudzenie emocjonalnego stosunku turysty do polskich gór; to prelegenci, wyrzucający z siebie ogromne ilości dat i faktów, natychmiast zapominanych przez słucha-

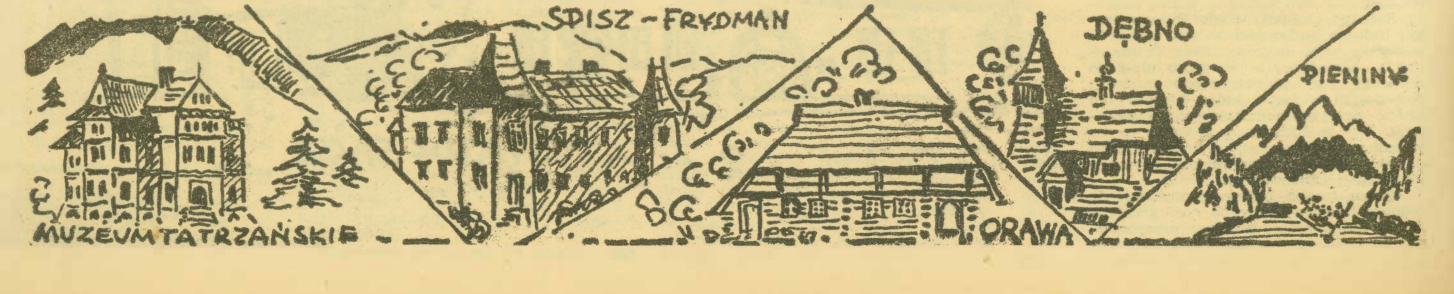

czy. Spostrzec jednak należy, że [illegible] ckie i w ogóle krajoznawcza działalność samokształceniowa, tak bardzo w naszym województwie rozwinięta, przyczyniła się w dużym stopniu do rozwoju naszej samoświadomości.

To właśnie na naszym terenie powstało w roku 1873 Towarzystwo Tatrzańskie, którego bezpośrednim kontynuatorem jest PTTK. Warto pamiętać, że TT było pierwszą organizacją turystyczną na Słowiańszczyźnie i jedną z pierwszych na świecie. Powstało z pozytywistycznych, patriotycznych pobudek i oddziałało nie tylko na rozwój turystyki górskiej, lecz i na cały ruch regionalistyczny. Z Towarzystwa wywodzi się Klub Wysokogórski, Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, sportowe kluby narciarskie; Towarzystwo Tatrzańskie (już w czasach, gdy nazywało się Polskie Towarzystwo Tatrzańskie) zorganizowało Muzeum im. Władysława Orkana w Rabce i zebrało znajdującą się tam, wspaniałą kolekcję dawnej rzeźby ludowej. Sekcja Ludoznawcza TT położyła ogromne zasługi w krzewieniu kultury góralskiej i jej popularyzacji w całej Polsce.

W Zakopanem, Szczawnicy, Krynicy bywali najwybitniejsi przedstawiciele nauki i kultury polskiej. Nie będziemy ich wszystkich wymieniać, to byłby temat grubej książki, lista byłaby zbyt długa. Trzeba tylko podkreślić bardzo grubą kreską: **naszą kulturę regionalną tworzyli zarówno miejscowi, jak przyjezdni.** Podziały na pniaków, krzaków i ptaków, na naskich, niepiłoków i ceprów, aczkolwiek żywe po dziś dzień, nie miały większego znaczenia we współtworzeniu kultury. **Podhalanami byli zarówno Sieczki, Tatary, Gąsienice, Suleje — jak warszawiak Chałubiński, kujawianin Kasprowicz, Witkiewicz z Litwy, kaliszanin Asnyk, krakowianie Radzikowscy czy Hoesick lub pochodzący z Ukrainy Szymanowski.** Dopiero, gdy pierwsza fala przybyszów „podniosła" te tereny, zaczęła wzrastać inteligencja miejscowa, która później stanowiła trzon ruchu regionalistycznego: doktor Chramiec, profesor Stopka, generał Galica, literat Sznaciarz-Śmreczyński-Orkan i wielu innych. Nie tylko Podhale, lecz niemal wszystkie regiony naszego województwa (na przykład Pieniny!) zawsze chłonęły przybyszów i rychło uznawały ich za swoich. Naturalnie — przybyszów, którzy nie darmo jedli tutejszy chleb.

Taką siłę przyciągania mają tylko kultury naprawdę żywe, autentyczne.

Ilu np. artystów, mieszkających dzisiaj w Zakopanem, to ludzie przyjezdni — ale nie z przypadku, lecz ze świadomego wyboru? I dlaczego, u diabła, ten wspaniały ludzki materiał jest tak straszliwie marnowany? **Jak Zakopane wykorzystuje fakt, że mieszka tam Hasior, Werner, Brzozowscy i tylu innych wybitnych ludzi? Jak wykorzystujemy fakt, że latem i zimą przyjeżdża do Zakopanego, Rabki, Szczawnicy, Krynicy, Piwnicznej bodaj cała polska elita intelektualna? Wydawałoby się, że dla kultury regionalnej jest to wielkie dobrodziejstwo, a tymczasem... ech, lepiej nie zaczynać tego tematu, bo nie wiem, czy umiałbym skończyć. W Warszawie, Łodzi, Poznaniu, w Krakowie szczególnie — mieszkają setki bardzo mądrych ludzi, którzy szczerze kochają naszą ziemię i nie boją się roboty; a cóż my robimy, do cholery, żeby wykorzystać ich wiedzę, serca i możliwości organizacyjne?**

*

Teraz, dla zmiany nastroju, wygłosić trzeba wielką pochwałę z b i e r a c t w a. Nasz teren miał szczęście do kolekcjonerów — ludzi, którzy umieli ocenić piękny i wartościowy przedmiot. Muzeum Tatrzańskie, założone w 1888 roku, wchłonęło kolekcję Marii Dembowskiej, Adama Krasińskiego i inne. Trzon zbiorów tradycyjnej rzeźby i malarstwa ludowego, znajdujących się w Muzeum im. Władysława Orkana w Rabce — to wynik wieloletniej pracy księdza Bulandy. Mniej znane, ale nie mniej wartościowe są zbiory ojców Cystersów w Szczyrzycu. Nieprzebraną skarbnicą kultury jest starosądecki klasztor Klarysek — czy doczekamy się kiedyś wystawy przechowywanych tam wspaniałości? Kolekcja książek i archiwaliów na temat Tatr i Podhala, zgromadzona przez Zofię i Witolda Paryskich w Zakopanem — to prawdziwa wszechnica i biuro informacji naukowej. Wspomnieć trzeba zbiory etnograficzne Zofii i Stanisława Chrząstowskich z Podegrodzia, zbiory przykościelne w Grybowie, łemkowskie zbiory Pawła Stefanowskiego z Bielanki, działalność kolekcjonerską Karola Rojny z Muszyny, izbę regionalną w Sidzinie. Cenne zbiory Muzeum PTTK w Nowym Targu w znacznej części zgromadzone zostały staraniem zasłużonego muzealnika-amatora, Józefa Pajerskiego. Skromna, lecz interesująca kolekcja sztuki znajduje się na plebanii w Dobrej. Istniała kiedyś spora kolekcja na plebanii w Tymbarku; większość jej eksponatów znajduje się obecnie w Muzeum w Bochni. Muzeum w Nowym Sączu, powstałe pod koniec XIX wieku, uległo całkowitej zagładzie w styczniu 1945 roku. Po wojnie znów odżyło; niewielki, ale wartościowy zestaw ikon oraz skansen to jego najmocniejsze atuty.

Eksponaty z naszego terenu znajdują się w wielu kolekcjach muzealnych i prywatnych w całej Polsce, i bardzo dobrze. Wiele cennych sandecjanów i dzieł sztuki z całej polskiej góralszczyzny posiada krakowskie Muzeum Etnograficzne, założone przez sądeczanina, Seweryna Udzielę; słynna Madonna z Krużlowej zdobi ekspozycję Muzeum Narodowego w Krakowie. Największa i najwartościowsza kolekcja współczesnej polskiej sztuki ludowej i nieprofesjonalnej, zgromadzona przez wybitnego znawcę tej problematyki, red. Ludwiga Zimmerera z Warszawy, zawiera wieleset eksponatów z naszego regoinu. I wreszcie, na deser, wspomnijmy jedyną w swoim rodzaju kolekcję żywą, wciąż uzupełnianą, o wybitnie kulturotwórczym charakterze. Mam tu oczywiście na myśli zbiory księdza dziekana Edwarda Nitki w Paszynie.

O jej, byłbym zapomniał o kolekcjach przyfabrycznych. Co prawda, widziałem tylko dwie, w „Gliniku" i w ZTNK, ale jakżeż bogate i ciekawe! Obrazują one historię tworzenia się proletariatu na naszym terenie, budzenia się świadomości klasowej robotników, ich działalność organizacyjną, przeżycia wojenne. Obie te izby pamięci oglądałem przed kilkoma laty. Ciekawe, czy znalazły się tam już pamiątki z Sierpnia i następnych miesięcy? Jeśli tak — oznaczałoby to, że są to kolekcje żywe, a nie zimne sarkofagi.

Znowu sobie przypomniałem — a kolekcja pana profesora Józefa Plechty w sądeckim Zespole Szkół Samochodowych? Zebrano tam pamiątki z okresu drugiej wojny światowej (nie tylko), niektóre unikalne, a wszystkie bardzo cenne, bo autentyczne. I cenne również przez to, że kolekcję wzbogacają sami uczniowie, którzy w ten sposób poznają ojczyste dzieje. Ojczyste w sensie dosłownym — to znaczy dzieje ich ojców, wujków, dziadków, sąsiadów. Kolekcja przyszkolna ma wartość dokumentalną i dydaktyczną, a o to właśnie w zbiornictwie chodzi.

Niech żyje kolekcjonerstwo!

*

Istnieje na naszym terenie cała masa towarzystw regionalnych, klubów plastycznych, fotograficznych, teatrów amatorskich. (Tu trzeba koniecznie wspomnieć amatorski teatr z Gorlic, Teatr Robotniczy im. Bolesława Barbackiego w Nowym Sączu oraz Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Zakopanem). Naturalnie, jedne przeżywają wzloty, inne upadki, normalna rzecz. Na przykład można mówić o renesansie Towarzystwa Miłośników Starego Sącza. Działają u nas kluby literackie, taneczne. Niewątpliwe instytucje kulturalne — to orkiestra dęta sądeckich kolejarzy i orkiestra wopistów. Miejscowe tradycje pielęgnowane są w Ochotniczych Strażach Pożarnych (np. w Podegrodziu). Mamy dwa oddziały Związku Polskich Artystów Plastyków, delegatura Związku Polskich Artystów Fotografików, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Polskie Towarzystwo Historyczne, bardzo aktywne Stowarzyszenie Twórców Ludowych, Związek Podhalan.

Niepodobna wymienić wszystkich szczytów, wierchów i turniczek w panoramie naszej kultury — tym bardziej, że wciąż falują, a nie stoją sztywno, jak Tatry, gdy patrzy się na nie z Gubałówki. Panorama z Gubałówki także jest rozległa, ale również niekompletna. Na przykład nie widać stamtąd Gierlachu — bądź co bądź, najwyższego szczytu Tatr. Co prawda, niezapomniany Józek Krzeptowski Gierlach stamtąd pokazywał. „Panowie zapłacili, to Gierlach ma być!" — mawiał. Niechaj ci, których pominąłem, wybaczą; artykuł w tygodniku, to nie Almanach Gotajski. Lecz nie, nie wybaczajcie, tylko ślijcie do nas listy, pełne pretensji. To nam podpowie nowe tematy. Poprawimy się w następnych numerach!

Ludomir Mazeła

Sądecczyźnie

uczę się ciebie ziemio — na pamięć
jak przysięgi — jak roty — pacierza
w zachwyceniu się uczę — i w bólu
stopom wędrować — zbyt mało
dłonią wymykasz się czułym
oczom wciąż nie dowierzam

uczę się ciebie aż przyjdzie pora
umierać się ludzkiej obrócić pamięci
pojednać z błękitą
wtedy zazwuczisz drzewom strzelistym
obmyjesz wodą śpiewną
stoczysz się na mnie wędrowca
grudą wiosną i ciągłą

Antonina Zachara-Wnękowa

Słuchaj

Przyłóż ucho do ziemi
usłyszysz
jak bije jej serce
przyłóż ucho do drzewa
usłyszysz
jak dźwięczy każda gałązka
posłuchaj szeptu trawy
gdy wiatr ją kołebie

Słuchaj
uważnie słuchaj
odnajdziesz tam siebie...

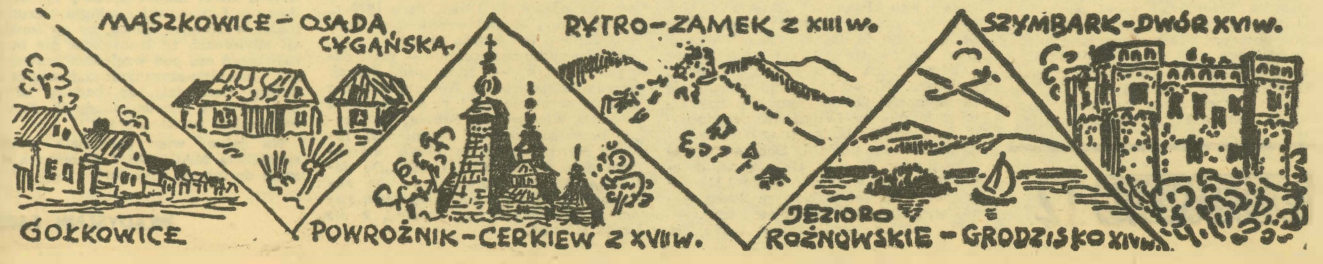

16 maja otrzymaliśmy poniższe oświadczenie dotychczasowego wicewojewody nowosądeckiego, Władysława Fabera, prezentujące jego punkt widzenia na sprawy, które bulwersowały opinię publiczną Nowego Sącza i w konsekwencji doprowadziły do jego odejścia ze stanowiska. Drukujemy to oświadczenie, dokonawszy w nim pewnych skrótów, koniecznych ze względu na szczupłą objętość naszych łamów.

CZYM ZAWINIŁEM?

9 maja br. w czasie mojego pobytu w Szpitalu Kardiologicznym w Rabce, wicewojewoda nowosądecki, Janusz Pieczkowski, przedstawił mi poufną notatkę służbową sporządzoną przez I. Chomczyka, głównego specjalistę Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska z postępowania wyjaśniającego w sprawie zarzutów MKZ „Solidarność" w stosunku do mojej osoby. Wicewojewoda Pieczkowski oświadczył również, iż w związku z zarzutami postawiono wniosek o odwołanie mnie ze stanowiska wicewojewody nowosądeckiego, a rozmowę przeprowadza na polecenie wojewody.

Po zapoznaniu się z treścią notatki stwierdziłem, że zawarte w niej ustalenia są niezgodne ze stanem faktycznym i prawnym. Dlatego też nie znajduję podstaw do odwołania mnie z zajmowanego stanowiska.

Uważam, że przyczyny mojego odejścia leżą gdzie indziej. Dla zachowania spokoju społecznego i zakończenia rozmów w Nowym Sączu nie protestuję przeciw odwołaniu mnie ze stanowiska. Zastrzegam sobie jednak prawo pełnego wyjaśnienia sprawy i podania moich argumentów do publicznej wiadomości.

W oświadczeniu niniejszym pragnę ustosunkować się do spraw, będących tematem notatki I. Chomczyka. I tak stwierdza on m.in. że: *„mimo, że W. Faber posiadał własny lokal mieszkalny w Limanowej i nie zwolnił go do dyspozycji terenowego organu administracji państwowej, przydzielono mu w Nowym Sączu spółdzielcze mieszkanie typu M-6 (4 osobowa rodzina) przy ul. Rejtana 14 m. 62 z wkładem pokrytym przez Urząd Wojewódzki. Lokal miał ponadnormatywną powierzchnię, która mu nie przysługiwała. Inną nieprawidłowością było ujęcie przez ob. Fabera (do przydziału lokalu) — teścia Antoniego Golonki, który faktycznie nie zamieszkiwał z nim stale".*

Mieszkanie spółdzielcze w Nowym Sączu otrzymałem w związku ze służbowym przeniesieniem mnie — przy dokonywaniu zmian w podziale administracyjnym państwa — ze stanowiska zastępcy naczelnika powiatu na stanowisko przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Planowania. Mieszkanie przysługiwało mi na podstawie § 5 Uchwały nr 91 Rady Ministrów z dnia 30 maja 1975 r. w sprawie zatrudnienia pracowników znoszonych jednostek administracyjnych. Przepis tego paragrafu stwierdza między innymi, że **„pracownikom dotychczasowych Urzędów Wojewódzkich lub znoszonych Urzędów Powiatowych, powołanych na stanowisko kierownicze w nowo utworzonych województwach należy zapewnić w najbliższym czasie przydział mieszkania".**

Minister Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska pismem z dnia 26.06.1975 skierowanym do wojewodów wręcz stwierdza, że **„pracownicy terenowych organów administracji państwowej stopnia podstawowego i wojewódzkiego (...) przenoszeni do innych miejscowości w wyniku reorganizacji administracji państwowej powinni otrzymywać mieszkania spółdzielcze.**

W związku z tym w porozumieniu z Ministrem Finansów wyrażam zgodę na pokrycie wkładów własnych wymienionych pracowników instancji i urzędów ze środków miejskiego (wojewódzkiego) funduszu mieszkaniowego".

W aktach Spółdzielni Mieszkaniowej znajduje się pismo naczelnika miasta i gminy w Limanowej, który stwierdza, że posiadany przeze mnie lokal mieszkalny w Limanowej został postawiony do jego dyspozycji. Oświadczenie zostało potwierdzone w paragrafie 7 aktu notarialnego z dnia 12.04.1978 r., na podstawie którego Skarb Państwa wykupił budynek ode mnie w Limanowej i z dniem zawarcia umowy notarialnej dom był już niezamieszkały i opróżniony. **Tak więc zarzut, że nie zwolniłem lokalu mieszkalnego w Limanowej jest całkowicie bezpodstawny.**

W 1975 r. naczelnik miasta i gminy Limanowa podjął postępowanie w sprawie nabycia w Limanowej nieruchomości przy ul. Kilińskiego 13, stanowiącej własność Antoniego Golonki oraz dzieci po zmarłej Zofii Golonce. Teren ten został przeznaczony na zagospodarowanie przedszkola nr 1 w Limanowej.

W budynku tym zamieszkiwał ob. Antoni Golonka. Aktem notarialnym sporządzonym w dniu 29.IV.1976 r. w Państwowym Biurze Notarialnym w Limanowej nabyto na rzecz Skarbu Państwa powyższą nieruchomość.

Ponieważ rozmowy na temat nabycia tej nieruchomości zbiegły się w czasie z przyznaniem mi mieszkania w Nowym Sączu, dlatego też mój teść — emeryt, Antoni Golonka, wyraził chęć zamieszkania razem z nami, dla zapewnienia mu odpowiedniej opieki. Po kilkudniowym pobycie w Nowym Sączu zrezygnował jednak ze wspólnego zamieszkania, oświadczając wręcz, że środowisko to jest dla niego zupełnie obce. Nigdy nie mieszkał w budynkach wielorodzinnych i dlatego nie wyraża zgody na zameldowanie. Powrócił do Limanowej, gdzie zamieszkał samotnie w starym budynku.

Tak więc nie było z mojej strony złej woli i chęci wprowadzenia Spółdzielni w błąd. Dodaję, że naczelnik Limanowej nabył dwie nieruchomości mojej rodziny na własność Skarbu Państwa.

I. Chomczyk pisze w swojej notatce, że nie przysługiwała mi powierzchnia ponadnormatywna. Ma rację. Ale gwoli sprawiedliwości powinien dodać, że ta powierzchnia ponadnormatywna wynosiła raptem 14 m 17 cm i że zajmując odpowiedzialne stanowisko **posiadałem uprawnienia do dodatkowej powierzchni** mieszkalnej (§ 10 ust. 1 pkt. 3 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 26 czerwca 1974 r. w sprawie wykonania niektórych przepisów prawa lokalowego (Dz. U. Nr 26 poz. 152). Nadto zajmowane mieszkanie w domu jednorodzinnym i z ogrodem w Limanowej było większe o około 20% od przyznanego mi w Spółdzielni. Zwracam również uwagę, iż przedmiotowe mieszkanie z dniem 1 marca 1979 r. zostało przeze mnie opróżnione i postawione do dyspozycji Spółdzielni Mieszkaniowej w Nowym Sączu.

I. Chomczyk opisując sprawę zbycia nieruchomości w Limanowej stwierdza, że *„na działce projektowana jest budowa bloków mieszkalnych zaplanowana na lata 1976—1980. Jak dotychczas wywłaszczony teren nie został zabudowany"*. Stwierdzenie to sugeruje, jakobym wymusił na naczelniku Limanowej kupno budynku. Jest to całkowicie bezpodstawne. Pod budowę osiedla „Centrum" wywłaszczono dotychczas 21 nieruchomości, a w stosunku do dalszych 20 toczy się postępowanie wywłaszczeniowe. Budowa osiedla została rozpoczęta w roku 1980, z poważnym opóźnieniem. Ustalenie ob. I. Chomczyka pozostawiam bez komentarza.

W notatce służbowej I. Chomczyk stwierdza, iż *„w sprawie odstąpienia przez W. Fabera lokalu mieszkalnego spółdzielczego typu M-6 oraz nabycia kilkunastoizbowej kamienicy w Nowym Sączu stwierdzono co następuje..."*

Oświadczam, że budynek, który zakupiłem w Nowym Sączu jest domem jednorodzinnym w rozumieniu przepisu art. 3 prawa lokalowego (Dz. U. Nr 14 poz. 84), stwierdzającego, że **„domem jednorodzinnym jest dom mieszkalny... przeznaczony do zaspokajania potrzeb mieszkaniowych właściciela i jego bliskich..."** Do osób bliskich najemcy należą również dzieci, które mają prawo do korzystania z budynku. Dom ten ma na parterze i piętrze po 4 izby oraz 1 prowizoryczną izbę na poddaszu. Nie wiem, skąd wzięło się stwierdzenie, że nabyłem kilkunastoizbową kamienicę. Dodatkowo pragnę poinformować, że budynek w okresie badania sprawy przez I. Chomczyka zamieszkiwało 10 osób. Gęstość zaludnienia na 1 izbę wyniosła zatem 1,11 osoby przy średniej w Nowym Sączu wynoszącej około 1,18 osoby na 1 izbę.

W notatce stwierdzono także, iż *„cały budynek był zamieszkały i transakcja sprzedaży była korzystna dla właścicielki, która nie miała szans na opróżnienie budynku i wykwaterowanie lokatorów, do niej bowiem w pierwszym rzędzie należał obowiązek dostarczenia lokali zamiennych"*. Stwierdzenie to jest sprzeczne z przepisem art. 25 prawo lokalowe gdzie stwierdzono, że **„właściciele domów jednorodzinnych... mają prawo do zamieszkania w swych domach i lokalach, opróżnionych w całości lub części. W celu umożliwienia im... zamieszkania w swych domach lub lokalach terenowy organ administracji państwowej powinien — w miarę istniejących wolnych lokali — przekwaterować do lokali zamiennych najemców".** Przepis ust. 4 tego artykułu stwierdza wręcz, że organ administracji państwowej może dokonać nawet przekwaterowania do pomieszczenia zastępczego.

Nie posiadam dostatecznych informacji, by ustosunkować się do zarzutu, związanego z wartością budynku i jego wyceną zarówno przez PZU jak i Wydział Finansowy. Pragnę jedynie dodać, że budynek ten został wzniesiony w 1912 r. i od tej pory — poza zmianą pokrycia dachowego — nie przeprowadzano w nim remontów kapitalnych ani modernizacji.

W notatce stwierdzono, że *„lokal nr 1 na parterze budynku składający się z 2 pokoi i przedpokoju o powierzchni użytkowej 70,7 m² we wrześniu 1978 r. zajęła Alina Faber, osoba samotna, która faktycznie zamieszkiwała razem z rodzicami. Po opróżnieniu go za zgodą prezydenta miasta został on zajęty przez córkę Alinę Faber bez tytułu prawnego. W styczniu 1981 r. wyszła ona za mąż i aktualnie zamieszkuje nadal wraz z mężem Kazimierzem Kowalikiem"*.

Jest to zupełnie bezpodstawne stwierdzenie, ponieważ w lokalu nr 1 na parterze budynku mieszkają ob. ob. Matylda Gut — od dnia 16.III.1950 r. i Magdalena Dara — od dnia 10 stycznia 1979 r. (Do tej pory pokój w tym lokalu zamieszkiwała ob. Katarzyna Garbacz). Natomiast córka Alina jak uprzednio tak i obecnie, z mężem zamieszkuje razem z rodzicami.

Kolejny zarzut: *„Druga córka Faberów — Jolanta Lelito otrzymała w dniu 1 lipca 1977 przydział mieszkania spółdzielczego M-3, ...Przydział ten jest komentowany jako wymuszony. ...W przydzielonym jej lokalu Lelito Jolanta faktycznie nie zamieszkiwała przeznaczając go na zamianę z b. właścicielką nieruchomości Anną Migdał, od której ojciec zakupił budynek"*.

Oświadczam, że nie 1 lipca 1977 r. i nie Jolancie Lelito, ale w dniu 30 kwietnia 1977 Nowosądecki Kombinat Budowlany przydzielił mieszkanie typu M-3 swojemu pracownikowi Tadeuszowi Lelito, wśród 25 innych osób.

Dalej stwierdza notatka, że *„w przedsiębiorstwie tym krótko zatrudniony był jej mąż, który figurował na liście przydziału mieszkania chociaż nie był on członkiem Spółdzielni Mieszkaniowej"*. Łatwo sprawdzić, że mój zięć Tadeusz Lelito od 7 lat jest pracownikiem Nowosądeckiego Kombinatu Budowlanego i pełni tam funkcję majstra.

Stwierdzenie, że małżonkowie Lelitowie nie zamieszkiwali w przyznanym mieszkaniu jest zwykłą insynuacją, ponieważ użytkowali je do czasu zamiany z ob. Anną Migdał. Mogą potwierdzić to najbliżsi sąsiedzi. Stwierdzenie, iż mieszkanie było od samego początku przeznaczone na zamianę z b. właścicielką nieruchomości Anną Migdał nie może ostać się wobec porównania dat: przydział nastąpił 30 kwietnia 1977 r., nieruchomość w Limanowej sprzedałem rok później tj. 12 kwietnia 1978 r., a z ob. Anną Migdał wszedłem w kontakt dopiero w czerwcu 1978 r.

„Budzi nadto zastrzeżenie — pisze dalej Chomczyk — *zasadność decyzji Urzędu Miejskiego w Nowym Sączu z dnia 22 września 1978 r., wydanej na wniosek Władysława Fabera, dotyczącej przekwaterowania 3-osobowej rodziny Marii Smoleń do lokalu zamiennego przy ul. Barskiej 11/36. ...Do dostarczenia lokalu zamiennego dla najemcy zobowiązany był Władysław Faber i współwłaściciele rodziny, a nie Urząd Miasta"*.

Istotnie, wystąpiłem z takim wnioskiem do prezydenta miasta w oparciu o przepis art. 25 prawa lokalowego, który — jak już wspomniałem — nakłada na terenowy organ administracji państwowej obowiązek przekwaterowania do lokali zamiennych najemców zajmujących mieszkanie w domach jednorodzinnych na podstawie decyzji administracyjnej. Nadto istnieje jeszcze inny aspekt sprawy, o którym nie wspomniał I. Chomczyk: dopiero po wykwaterowaniu M. Smoleń miałem możliwość zamieszkania we własnym budynku i postawieniu do dyspozycji organu lokalowego — co też uczyniłem — zajmowanego dotychczas mieszkania przy ulicy Rejtana 14.

„Również negatywnie — stwierdza dalej notatka — *oceniony został sposób wykwaterowania Katarzyny Garbacz do Domu Rencisty w Gorlicach"*.

Wiadomo mi, że tego rodzaju opinie krążyły w określonych środowiskach, a dla dodania im posmaku sensacji twierdzono nawet, że uczyniłem to siłą.

Faktycznie sprawa Katarzyny Garbacz przedstawiała się następująco: w czasie zakupu budynku zajmowała ona pokój w lokalu nr 3. Jest to osoba urodzona w 1906 r. i pozostająca od 1973 r. pod stałą opieką Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej. Katarzyna Garbacz jest osobą schorowaną, a opiekę nad nią sprawowały siostry PCK. Ponieważ Katarzyna Garbacz zachorowała, zainteresowałem sprawą ówczesnego lekarza wojewódzkiego Alfreda Jakubowskiego, który polecił ją przewieźć do Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego. W czasie badań lekarskich stwierdzono, że choruje ona na gruźlicę naciekową, w związku z czym przebywała w Oddziale Przeciwgruźliczym i Chorób Płuc od dnia 24 października 1978 r. do 10 stycznia 1979 r. W tym to dniu na własną prośbę została przewieziona do Państwowego Domu Rencistów w Gorlicach, gdzie dotychczas przebywa. O opuszczeniu przez nią mieszkania dowiedziałem się z Działu Służb Społecznych Woj. Szpitala Zespolonego.

Oświadczam, że nie podejmowałem żadnych działań, które zmuszałyby do opuszczenia ob. Katarzynę Garbacz pokoju. Nadmieniam, że do dnia dzisiejszego jest on zamieszkiwany przez ob. Magdalenę Darę, byłą pomoc ob. Anny Migdał.

Dalej: doprawdy nie wiem, w czym tkwi naganność faktu, że wystąpiłem do Banku PKO o udzielenie mi pożyczki? Istotnie pożyczkę taką w wysokości 100 tys. zł zaciągnąłem na modernizację (a nie rozbudowę — jak pisze I. Chomczyk) zakupionego budynku mieszkalnego.

Pożyczkę rozłożoną na 30 lat spłacać będę istotnie dopiero od 1982 r., ponieważ wszystkim pożyczkobiorcom, a więc i mnie ,przysługuje przy tego rodzaju kredycie dwuletni okres karencji

Kończąc, oświadczam raz jeszcze że nie chodzi mi o stanowisko, ponieważ i tak bym z niego zrezygnował ze względu na stan zdrowia. Na przestrzeni niespełna półtora roku już dwukrotnie przebywałem w Szpitalu Kardiologicznym z uwagi na zaawansowaną chorobę układu krążenia. Chodzi mi tylko i wyłącznie o stronę etyczno-moralną. Przecież główny specjalista I. Chomczyk nie tylko mnie, ale i dokumenty miał do dyspozycji, gdyby tego zapragnął. Mógł również zapoznać się ze sprawozdaniem z czynności kontrolnych, sporządzonym przez mgr Eugeniusza Malinę — kierownika sekcji w Okręgowym Zarządzie Dochodów Państwa i Kontroli Finansów w Krakowie, który badał sprawę sprzedaży domu w Limanowej i zakupu nieruchomości w Nowym Sączu, by w konkluzji stwierdzić, że transakcja nie budzi zastrzeżeń ani pod względem prawnym, ani moralno-etycznym: *„Reasumując należy stwierdzić, że badany zarzut pod adresem wicewojewody W. Fabera nie znalazł potwierdzenia"*.

Na jakiej więc podstawie główny specjalista MAGTiOS I. Chomczyk doszedł do innego wniosku?

WŁADYSŁAW FABER

TWOJEMU DZIECKU

Andrzej Jazowski

Jak się Kubuś wystraszył króla Sobieskiego

— Jezus Maria! Józek, uciekaj! — krzyknęła w okrutnym przerażeniu stara Kubusiowa do syna. — Bandurzy już całą dziedzinę otoczyli; syćcy na koniach.

Józek w samej koszuli wyskoczył co tchu ze stodoły na oborę, a z obory wyleciał w pole jak kamień wystrzelony z procy.

Biegł przygięty do ziemi, krył się za kępami i już prawie dolatywał potoka, w którym myślał znaleźć bezpieczne schronienie, gdy wtem posłyszał jakiś dziwny szum i nawoływania.

Podniósł głowę. Wojsko!... Cała zbrojna gromada jechała prosto na niego!

— Oo Matko Przenajświętsza, już po mnie! — jęknął boleśnie. — Nie dość, że bandurzy we wsi, to jeszcze tyle wojska...!

Zakręcił na pięcie i już biegł z powrotem ku wsi, oglądając się, czy nie pędzą za nim.

Ale oni nawet nie myśleli przyśpieszyć kroku — jechali drogą prosto ku Frydmanowi.

— Iście mnie nie zauważyli — ucieszył się Józek. — Ale pewnikiem mnie złapią, oj złapią! — Znowu się zatroskał. — Bo gdzieżbym mógł uciekną̨ć przed tylim wojskiem?!... Nigdzie. Oj, złapią mnie, Boże mój, i powieszą za żebro!... Kanysby mi darowali, skorom tyle nakradł, narabował na Liptowie! Eej, nie pójdę ja już więcej na zbój, nie uwidzę ja was już więcej, moje wiersycki...!

Wtem spostrzegł, że zza pagórka wyjechała druga grupa zbrojnych, więc momentalnie rzucił się pod kępę. Ale nie wytrzymał tam długo, bo zaraz pojawiła się na horyzoncie grupa trzecia, czwarta... I co gorsza, zaczęło szumieć, dzwonić od tego potoka tak, jakby wszyscy diabli z piekła jechali.

Nie czekał dłużej, tylko skoczył na równe nogi i biegł ku wsi, aż się za nim kurzyło. Dolatywał już do pierwszych chałup, gdy poraziła go nowa myśl: — Gdzie się skryć?!... Do domu nie mam co iść, bo tam z pewnością już na mnie czekają. Do Kaśki chyba skoczyć.

Zawrócił w stronę wsi, ku Kasinej chałupie. Biegł, oglądał się, potykał ze strachu, upadał w wysokie trawy, aż w końcu jakoś doczołgał się do płotów; otworzył drzwiczki i śmiało wszedł. A tu nagle poraził go w oczy okropnie ostry blask: to na podwórzu stoi kilku żołnierzy ze skrzydełkami, jak ci aniołkowie z piekła, cali w żelazie. Od nich ta łuna biła. Kaśka podaje zbrojnym w kubku mleko i suszy do nich zęby.

— Psia jucha jedna! — przykląkł trochę, bo go złość na frajerkę wzięła. — Iście z samymi diabłami się zadaje, bo na żołnierzy nie wyglądają, skoro u ramion mają takie same skrzydełka jak diabełkowie. Hej!... Ale ja się z nią porachuję, jak ją ino jacy w łapy dostanę!... Nie ma co — zadecydował — ino trzeba do kościoła podskoczyć. Matce Boskiej się pokłonić i rzucić jej garść dukatów na ofiarę.

I jak pomyślał, tak zrobił: puścił się chyłkiem między domy, przeskoczył szykownię przez parkan od zachodniej strony kościoła i wszedł do bocznej kaplicy. I już prawie miał klęknąć, gdy naraz dojrzał przy ołtarzu krępego, bardzo strojnego rycerza o wielkich oczach. Kiedy zbrojny spojrzał na niego tymi czarnymi, przenikliwymi oczami, to Józkowi w jednej chwili włosy na głowie dęba stanęły.

Jakoś się wycofał i miał czmychnąć, ale pech chciał, że z tego wielkiego strachu nie zauważył stojącego przed kościołem na straży żołnierza i uderzył głową w jego żelazną zbroję. Aż ciemno mu się zrobiło w oczach. Potem posłyszał jakieś krzyki i śmiechy... Ale Józek na nic już nie zważał, niczego nie chciał widzieć ani słyszeć. Przeskoczył parkan — tak prawdziwie po zbójecku — i zniknął między chałupami.

Pozostał już tylko jeden ratunek — las. Tam też postanowił się ukryć, chociaż — tak naprawdę — nikt go, nie szukał ani nie gonił.

Późnym popołudniem ledwo dowlókł się na Korzeniową Grapę, gdzie bacował stary Gąsienica; był już tak bardzo zmachany, że z trudem włóczył nogami.

Baca prawie wyrabiał oscypki. Józek pozdrowił go mile, grzeczniej niż zwykle, gdy wracał ze zbóju, i zaczął się podejrzliwie rozglądać po kolibie; niepokoiło go to, że z bacą był tylko jeden juhas — Bartek spod Grapy, a nie — jak zwykle — czterech.

— Co? Ścigają cię? — zagadnął baca, widząc wystraszonego Józka w samej koszuli.

— Aa... Niee, gdzie by tam — skłamał. — Ino tak się rozglądam, gdzie macie swoich juhasów?

— Ano poszli do Dębna, bo chcieli się napatrzeć na króla...

— Co też gadacie, na jakiego króla?...

— No dyć Sobieskiego, co wraca spod Wiednia. To nic nie wiesz, Józuś? Wczoraj go Salomoni gościli na zamku w Niedzicy, a teraz już jest w Dębnie...

— Taki czarny, krępy — dodał pośpiesznie Bartek. — Widziałem go, jak służył do mszy i ofiarował na kościół sztandar, wiesz· proporczyk bojowy.

— Co wy nie gadacie?!

— No tak. Bartek wie dobrze, bo tam był — potwierdził baca. — Gwarzą też ludzie, że przed południem zwiedzał Frydman, modlił się w kościele i dziękował Bogu, co szczęśliwie pobił Turków. Hej.

— Hm... — zamyślił się Kubuś, bo się mu już w głowie zaczęło przejaśniać. — W tej kaplicy musiał być król, a ja się go tak strasznie przestraszyłem, że aż hańba się przyznać. A Kaśka zaś dawała pić mleko jego wojakom,

Otarł rękawem pot z czoła, bo się mu zaraz i ciepło zrobiło z tego wszystkiego, i usiadł sobie na pniu. Słuchał z zapartym tchem tego, co baca mówił o królu i wielkim jego zwycięstwie nad Turkami pod Wiedniem, sam nie mając odwagi o nic zapytać. Bo nużby się któryś w szałasie zmiarkował, że on, honorny zbójnik, dał się tak łatwo wystraszyć? Dopiero byłoby śmiechu i gadania! Ho ho ho!...

Po chwili baca odał:

— I ja wybieram się popatrzeć na tego króla i jego wojaków, bom bardzo ich ciekaw.

— Ani mi się to syćko wierzyć nie chce — mruknął Kubuś jakby sam do siebie.

— Co? — pochwycił podejrzliwie baca.

— Je, nic, ino jacy... — ugryzł się Kubuś w język. — Pojadę i ja z wami, popatrzeć na tego króla.

Po chwili szli razem zgodnie do Dębna: stary Gąsienica i zbójnik Józef Kubuś, Ale króla już nie zobaczyli. Pojechał do Sącza, gdzie na niego czekała żona, królowa Marysieńka, wraz z całą dworską świtą.

A w dwa dni później górale z Nowego Sącza witali radośnie wspaniałego, nieustraszonego króla — zwycięzcę spod Wiednia.

Dominik Malinowski

Zbójnicki honor

Mój pradziad nie podzielił po równo gruntu między swych trzech synów, tylko cały oddał memu dziadowi, a jego braciom jeno place pod budowę i małe działki, żeby mieli gdzie ziemniaków trochę zasadzić. A zrobił tak dlatego, że rozgniewany był na nich, bo zbójectwem się zajmowali zamiast do pola iść.

Mieli ci dwaj bracia szerokie znajomości aż w Tatrach i na Węgrzech — dawnych Węgrzech; dziś to ziemie słowackie. Znali się z różnymi tamtejszymi zbójnikami i nieraz, jak którego bieda przycisnęła, żandarmi pognali, tu przychodził przez granicę, by u kolegi przenocować, ograć się, miskę gotowanej strawy pojeść. Szczególnie zimą, bo latem zawsze można przycupnąć pod smrekiem albo i na bacówce gościnę wyprosić.

Pewnego razu jeden z tych braci-zbójników przywiódł do dziadka swego towarzysza aż skądeś z Podhala; nikt go w Szczawnicy nie znał. I powiada:

— Marcinie, jakeś zabrał całą gospodarkę, to musisz mi przezimować kolegę, bo ja mało mam co jeść i nic mu z tego nie dam, żeby dla moich dzieci starczyło!

Dziadek zaczął się wymawiać, że nie ma gdzie, ale babka, jak to kobieta, miękkie miała serce i gościnniejsza była.

— Jakoś go tu pomieścimy — mówi.

Bo od razu się domyśliła, że ten człowiek musi przed kimś uciekać.

A tamten wskazał kąt w czarnej izbie, gdzie cielątko leżało, i uspokaja dziadka:

— Marcinie, ja tu tak przy krówce się wyleżę, nie zajmę wam wiele miejsca, tu se na słomie legnę! — i od razu pokazał, jak legnie, śmiesznie pokazał, więc babka się roześmiała, a i dziadek machnął ręką.

I tak się stało, że ów człowiek ostał w ich domu.

Przyszedł wieczór, poschodziły się baby z kądzielą — bo u nas była kądzielna izba — zaczęły się gadki o tym i o owym. Przybysz też opowiadał, a że dużo widział i wiedział, więc zawsze już rade go słuchały i strasznie polubiły.

Całą zimę tak przesiedział, a i w robocie dziadkowi pomógł, bo prędki w niej był, że hej!

Gdy przed Wielkanocą śniegi zeszły z gór — pewnego dnia zniknął i on. Słuch o nim zaginął i tylko zostały wspomnienia o owym chłopie skądź od Zakopanego, zwanym Cokorem.

Jak poszedł, tak go nie było.

Za kilka lat pojechał dziadek do Nowego Targu na jarmark. Chciał sprzedać kobyłkę, a kupić krówkę. Ale nasze koniki marne były, więc kupca nie znalazł. Z tego zmartwienia wlazł dziadek do karczmy, tam spotkał się ze znajomkami, no i popili. Ani zauważył, jak zrobiło się ciemno.

Trzeba wracać do domu!

Idzie dziadek do wozu — a tu kobyłki nie ma!

Wrócił do karczmy, labidzi. Żyd karczmarz radzi:

— Marcinie, jak kobyłki nie ma, to ani nie szukajcie. Znajdźcie jeno waszych znajomków co mieli konie, niech wam pożyczą jakiego — i jedźcie.

Dziad się w głowę drapał, zafrasowany.

Nie zwracał uwagi, że w kącie karczmy siedział jakiś niemłody góral i pił gorzałkę. Wielkie mi dziwo, w dzień targowy! Dopiero teraz się odezwał:

— Cóż się stało?

Dziadek od nowa zaczął labidzić, poskarżył się nieznajomemu.

— Wzięli wam kobyłkę? To ciekawe — mówi tamten. A za chwilę wychodzi z izby.

Nie było go jeno parę chwil, bo zaraz wrócił i powiada do dziadka:

— Wiecie co? Ja wam tę kobyłkę przywiódł. Przyprzęgajcie i jedźcie, żeby drugi raz nie zginęła.

Ale się dziadek ucieszył! Wypili jeszcze na podziękę, wreszcie wyszli na pole. A kiedy dziadek już ściągał lejce, tamten woła:

— Pozdrówcie waszą Marysię!

— Skądże wy znacie moją Marysię? — zdziwił się ogromnie dziadek.

— A znam. Powiedzcie, że ją Cokór kazał pozdrowić!

— To wyście?! — dziadek ku niemu, ale on odskoczył w mrok i tyle go widzieli.

...Wiele, wiele lat później dowiedziałem się, że ów Cokór to nie kto inny był, jeno sam Jasiek Sabała, który tak honornie się dziadkom za gościnę wywdzięczył.

Krzyżówka nr 22

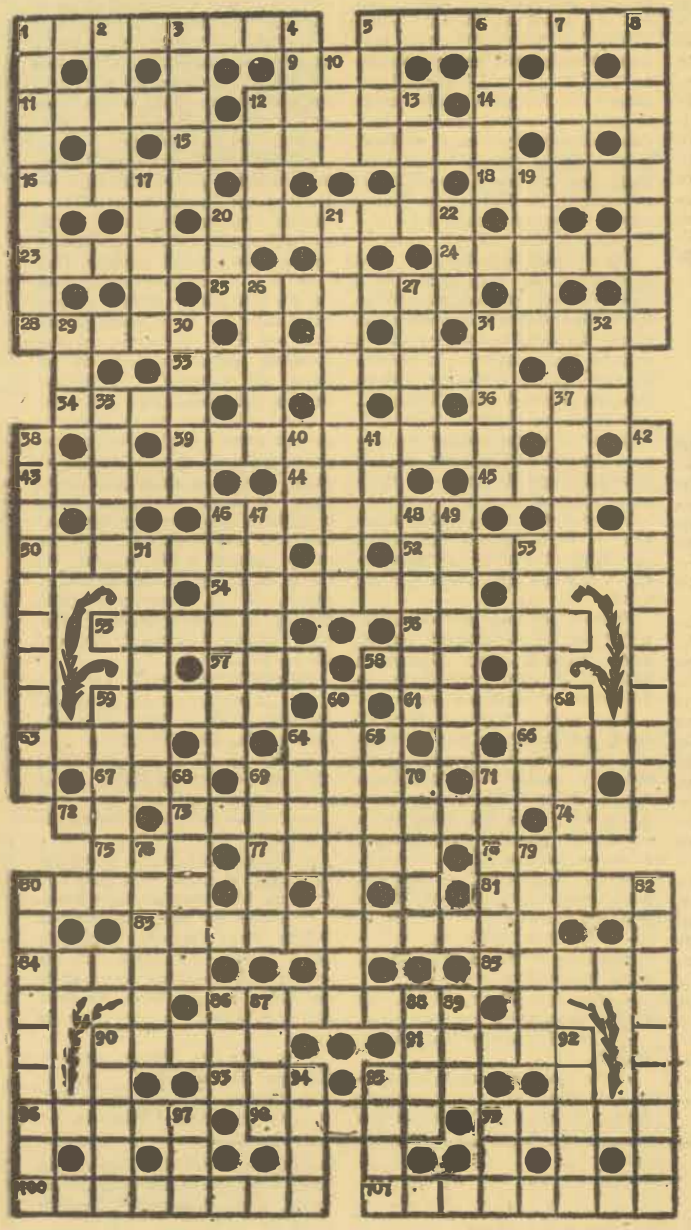

POZIOMO: 1) największy południowo-amerykański park narodowy, 5) ostatnia ostoja większości torbaczy, 9) najczystsza część górniczego Śląska, 11) można go zbudować z kwiatów, rozchylających kielichy o różnych porach, 12) poetycznie: miejsce ziemskiego losu, 14) miasto w Umbrii koło słynnych wodospadów marmurowych na Nerze, 15) wyspy, na których człowiek wyniszczył najwięcej gatunków zwierzęcych, 16) zakończenie nogi kozicy, 18) pomieszczenie, 20) jedno z najmniejszych państw, 23) przyzwyczajenia, 24) badacz środowiska naturalnego, 25) głos liści, 26) stolica Jordanii, 31) owad—ozdoba jezior, 33) linia jednakowych zmian barycznych, 34) szał upojenia, 36) podróż morska, 38) gryzoń andyjski o pięknym futrze, dziś żyjący już prawie wyłącznie w hodowli, 43) tereny ścinki drzew, 44) klasyczny poemat japoński, 45) imię męskie pochodzenia biblijnego — od proroka króla Dawida, 46) przewlekle chory, 50) gramofon radiowy, 52) niszczyciele wściekłego dobra, 54) poprzednia siedziba papieska w Rzymie, 55) najzdrowszy — razowy, 56) najpiękniejsze jezioro Afryki wschodniej, 57) jednostka informatyczna w komputerach, 58) organizacja rolnicza ONZ, 59) budynek hodowlany, 61) ptak amerykański, w XVI wieku sprowadzony do Europy, 63) myśli programowe, 64) może być w zielone, 66) drugie po Dublinie miasto irlandzkie, 67) uchodzi do jeziora Bałchasz, 69) ma służyć informacją, 71) wybitny niemiecki fizyk—elektryk, 72) starożytne miasto w Mezopotamii, 73) archipelag, na którym ewolucja zatrzymała się praktycznie w epoce gadów, 74) w środku koła, 75) najwyższa góra w Togo, 77) bogini walki o słuszną sprawę, 78) jutrzenka, 80) jej gatunki to limba i pinia, 81) działanie w hipnozie, 83) gałąź biochemii, 84) prowincja rzymska w dzisiejszej Rumunii, 85) znakomity psycholog austriacki, uczeń i kotynuator dzieła Freuda, 86) napadali na dyliżanse, 90) przed nim las, po nim polana, 91) pechowy król hebrajski z „Księgi królów", 93) do pracy ubiera kaptur, 95) płynie przez Bory Tucholskie, 96) martwy punkt rokowań, 98) kompozytor „Krzesanego", 99) jedyne morze w Europie, nad którym można spotkać brodźca śniadego i słonkę szlamnika, 100) jeden z dwóch parków rezerwatowych sekwoi amerykańskiej, 101) chronione lśniące owady z rodziny biegaczy.

PIONOWO: 1) assamski park nosorożca indyjskiego, 2) zapis testamentowy, 3) gromada grzybiarzy, zjeżdżających do lasu autobusem, 4) jeden z krajów macierzystych chomika syryjskiego, 5) dzieło niezbyt doskonałe, 6) na przykład paź królowej, 7) może chodzić po żywych koralach, 8) dział ekologii zajmujący się przyrodą nieożywioną, 10) gatunek poetycki, 12) trawka wyrastająca po zdeptaniu łąki przez owce, 13) miasto koło Słowińskiego Parku Narodowego, 17) kołnierz na rurze, 19) niewzruszony fundament, 20) broń partyzancka, 21) pierwszy park narodowy, 22) piłka przy zagraniu dotknęła siatki, 26) kłótnie, 27) zając bielak i gronostaj mają dwie: letnią i zimową, 29) wytępiony gatunek strusi nowozelandzkich, 30) germańskie demony wodne, 31) „smok z Komodo", 32) czarny śpiewak, kuzyn drozda, 35) silnie pachnące zioło, 37) owad—efemeryda, 38) kraj europejski, który zaczął chronić przyrodę w rezerwatach już przed 130 laty, 40) ptak zimnych wód, 41) przywódca „Promienistych", 42) gatunek, z którego pochodzi nasz chroniony przebiśnieg, 46) uroczysty rytuał, 47) tytuł Aleksandra Fredry, 48) miasto na Hokkaido blisko Sapporo, w krainie parków krajobrazowych, 49) przepastne wąwozy erozyjne, 51) hafna, 53) dwuwersowa strofa klasyczna, 59) dopływ Gwadiany przy granicy portugalsko-hiszpańskiej, 60) figura geometryczna, 62) chwast ziemniaczany, 64) mebel—weteran, 65) staropolska forma grzecznościowa, 68) legwan, 69) ozdoba skóry rysia górskiego, 70) rzeka w środkowej Japonii, z pięknym przełomem w górach Mikuni, 71) kaukaski kraj Digorców i Ironów, 76) najpowszechniejsze skały metamorficzne, 79) miasto przy granicy rumuńsko-węgierskiej, 80) pracownicy wymiaru sprawiedliwości, 82) park narodowy w Tanzanii, 86) ptak brodzący, który w przestrachu udaje trzcinę, 87) najprostsze liczydło, 88) najbardziej wytępione drzewo śródziemnomorskie, 89) ta wierzba, której baziami witamy wiosnę, 90) najtańszy sposób hodowania, 92) podmokła łąka górska, 94) czołowy tygodnik amerykański, 95) imię Disneya, 97) ryba z wąsami, 99) daje nam najpiękniejsze kwiaty majowe.

Tym razem krzyżówka dla miłośników nieskażonej przyrody — zaiste bardzo trudna w hasłach, lecz zarazem bardzo ułatwiona dwudziestowyrazowym hasłem pomocniczym, które jest fragmentem „manifestu Arusha" — deklaracji premiera Tanzanii, Juliusa Nyerere, z roku 1961 (pierwsza liczba oznacza numer wyrazu w krzyżówce; liczba po kresce — kolejną literę w tym wyrazie; poszczególne zaszyfrowane wyrazy oddzielone są kreskami skośnymi): 88-2, 101-4, 1 pion.-4, 34-4, 100-6, 14-2, / 11-1, 89-2, 42-2, 82-4, 43-2, 91-3, 37-2, 53-4, 1 poz.-4 / 38-2, 15-2, 62-3, 48-1, 11-2, 76-5, 26-1, 66-4, 45-2, 92-2, 82-2 / 90 pion.-5 / 15-3, 21-6, 39-7, 94-2 42-1, 69-2, 29-2, 79-4, 24-5, 90-1, 5-7, 30-4, 1-1, 7-2, / 56-4, 80 pion.-2 / 45-1, 66-5, 100-4, 44-2, 42-4, 33-4, 24-2, 49-5 / 72-5, 66-3, 17-6, 50-6, 10-2, 28-3, 92-5, 100-2, 54-3, 79-5, 83-5 / 89-1, 72-6, 84-1, 39-2, 67-1, 82-1, 3-2 / 8-5 / 82-5, 1 pion.-2, 100-7, 38-6, 55-2, 14-4, 94-2, 83-1, 56-1, 33-1, 73-1, / 85-3, 21-2, 101-5, 41-1 / 80-5, 32-2, 101-2, 74-2, 84-3, 8-3, 96 pion.-2, / 76-2, 1 pion.-6, 38-1, 60-6, 78-1, 82-6, 66-2 / 37-1, 40-2, 82-5, 1 poz.-7, 91-4 / 63-1 / 70-4, 10-2, 5 poz.-3, 27-2, 85-4, 1 pion.-5, 51-2 / 32-4, 76-2, 57-1, 33-5, 71-1, 8-2, 59-2, 87-3, 68-2.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 10 czerwca. Mistrzowie, którzy rozwiążą całą krzyżówkę (za 4 punkty) mają szansę wylosować atrakcyjną nagrodę — album barwny „Grzyby i las"; przeznaczamy jednak również premie książkowe dla tych, którzy nadeślą tylko rozwiązanie hasła pomocniczego (za co przyznajemy w naszym konkursie kwartalnym dwa punkty).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 18

POZIOMO: 1) Sinatra, 5) drabant, 9) Dajan, 12) wystrzał, 13) rozterka, 14) tek, 15) kanonada, 18) Amundsen, 23) jon, 25) amorek, 26) sorbet, 27) PIH, 28) Nagasaki, 32) elaborant, 36) lir, 37) praktyka, 38) owczarek, 41) owady, 42) rozjazd, 43) żandarm.

PIONOWO: 1) siwek, 2) nos, 3) taran, 4) Ada, 5) dno, 6) aktyn, 7) akr, 8) Twain, 10) Altaj, 11) arkan, 16) Akaba, 17) oko, 18) aleja, 20) uroda, 21) dąb, 22) Eltra, 24) Oki, 27) pław, 30) Herod, 29) napar, 30) Gracz, 31) siwa, 33) bizon, 34) rurka, 35) Tokuma, 38) kod, 40) wyj.

HASŁO POMOCNICZE: Ranek bywa mądrzejszy od wieczoru.

Nagrody wylosowali pani **Danuta Michoła** z Nowego Targu i pan **Kazimierz Kajda** ze Skawiny. Gratulujemy.

Zaprosili nas

- **Komitet Gminny PZPR w Jodłowniku, Miejsko-Gminny w Mszanie Dolnej, Miejski w Szczawnicy-Krościenku, Miejsko-Gminny w Krynicy, Zakładowy węzła PKP w Nowym Sączu na konferencje sprawozdawczo-wyborcze;**
- **Rada Regionalnych Towarzystw Kultury przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, Rada Regionalnych Towarzystw Kultury województwa nowosądeckiego przy Wojewódzkim Komitecie Frontu Jedności Narodu, Klub Ziemi Sądeckiej, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu na II Kongres Regionalnych Towarzystw Kultury;**
- **Związek Polskich Artystów Plastyków, Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu, galeria w Zakopanem na otwarcie wystawy grafiki Jerzego Jędrysiaka;**
- **Międzyspółdzielniany Klub Kultury „Lachy" w Nowym Sączu na „Kabareton" w wykonaniu: Krzysztofa Daukszewicza, Jacka Federowicza, Marka Pacuły, kabaretów „Lach" i „Za";**
- **Wojewódzki Komitet FJN i Wojewódzka Rada Kobiet w Nowym Sączu na spotkanie władz polityczno-administracyjnych województwa z kobietami z okazji dorocznego „Dnia Matki";**
- **Wiceprezydent miasta Nowego Sącza na miejską uroczystość Dnia Działacza Kultury;**
- **Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Sączu na koncert „U prezydenta" w wykonaniu Capelli Cracoviensis Filharmonii Krakowskiej im. Karola Szymanowskiego pod dyrekcją Stanisława Galońskiego.**

W ŻEGIESTOWIE-Zdroju — prywatny kiosk wraz z towarem „1001 Drobiazgów" — sprzedam. Listy kierować: Jan Załęski, Dąbrowa 38, 33-311 Wielogłowy, woj. nowosądeckie.

FAGOT kupię. Waryklewicz, Kraków, Garncarska 1.

MOTOCYKL BMW 500 lub 750 kupię. Zgłoszenia: Jedlicze, tel. 114, woj. krośnieńskie.

DUDA Wiesław, zam. Kamienica 154, zgubił legitymację szkolną nr 105/2/79, wydaną przez Zespół Szkół Mechaniczno-Elektrycznych w Limanowej.

PRZETARGI

Wojewódzki Szpital Zespolony w Nowym Sączu, ul. Młyńska 5, ogłasza, że W DRODZE PRZETARGU NIEOGRANICZONEGO zleci wykonanie następujących robót remontowo-budowlanych w budynku żłobka nr 2 w Nowym Sączu, przy ul. Jagiellońskiej 35:

1) **roboty elektryczne** — wymiana wewnętrznej instalacji elektrycznej, przyłącz kablowy
2) **roboty instalacyjne** — wewnętrzna instalacja gazowa, przyłącz gazowy
3) **roboty budowlane** — konserwacja dachu i rynien, malowanie lewacji, malowanie pomieszczeń — olejne i klejowe — budowa śmietnika, remont ogrodzenia
4) **roboty stolarskie** — wykonanie nietypowych regałów i szaf.

Szczegółowy zakres prac do omówienia w Dziale Technicznym Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Nowym Sączu.

Termin wykonania czerwiec—sierpień 1981 r.

Dokumentacja będzie udostępniona do wglądu w Dziale Technicznym od 1 czerwca 1981 r.

W przetargu mogą brać udział przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i prywatne.

Oferty, w zalakowanych kopertach, z napisem „przetarg", należy składać w Dziale Technicznym Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego, w pokoju nr 5.

Komisyjne otwarcie ofert nastąpi w dniu 15 czerwca 1981 roku, o godzinie 9.

Zastrzega się prawo dowolnego wyboru oferenta lub unieważnienia przetargu, bez obowiązku podania przyczyny.

na ekranie TV

29. V. — 4. VI.

PIĄTEK

PROGRAM I

8.00 TTR, RTSŚ — fizyka
8.30 TTR, RTSŚ — uprawa roślin
9.10 Geografia, kl. 7
9.00 Geografia, kl. 5
9.55 Geografia, kl. 6
11.00 Program dla najmłodszych, kl. 1—4
13.30 TTR, RTSŚ — matematyka
14.00 TTR, RTSŚ — mechanizacja rolnictwa
14.30 Redakcja szkolna zapowiada
15.25 Program dnia
15.30 Nurt — porozmawiajmy z ministrem
16.00 Dziennik
16.15 Obiektyw
16.30 Dla dzieci — „Kółko graniaste"
17.00 Magazyn motoryzacyjny
17.20 „Arsene Lupin" — „Tajemnica rodu Gesures"
18.15 Świadkowie
18.35 „Lekarz radzi" — gruźlica
18.50 Dobranoc
19.00 Monitor rządowy
19.30 Dziennik
20.00 Rolnicze rozmowy
20.15 Filmoteka arcydzieł — „Antonio das Mortes", dramat społeczny produkcji brazylijskiej
22.10 „Listy o gospodarce"
22.25 Dziennik

PROGRAM II

DWÓJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY — PREMIERY DNIA —

10.00 Magazyn motoryzacyjny
10.20 „Uśmiech spod parasola"
10.50 „Gwiazdozbiór" — Jane Fonda
16.25 Program dnia
16.30 Język rosyjski (10)
17.00 Język francuski (10)
17.30 Język angielski dla zaawansowanych (8)
18.00 Kino telewizji dziewcząt i chłopców — „Skąd my to znamy" — „Historia kalendarza"
18.30 Poradnia „Zaufanie"
19.00 Kronika
19.30 Dziennik
20.00 „Uśmiech spod parasola"
20.30 „Harfa i flet w duecie" grają: Urszula Mazurek i Barbara Świątek
20.55 24 godziny
21.05 „Sylwetki pisarzy" — Halina Auderska
22.05 Teatr wspomnień — 1970 — Marta Kuncewiczowa — „Cudzoziemka"

SOBOTA

PROGRAM I

6.00, 6.30, 7.00 TTR, RTSŚ;
8.55 Program dnia;
9.00 Dziennik;
9.15 Obiektyw;
9.30 Telewizja Młodych Kosmonautów — „Orbita";
17.30 „Radar";
17.45 „Gwiazdozbiór" — Jane Fonda;
18.30 Rumunia 81;
18.50 Dobranoc;
19.00 Telewizja młodych „C.D.N." — „Ostry dyżur";
19.30 Dziennik;
20.00 „Punkt widzenia" (5) serial obyczaj. TP;
21.05 „Atrakcje z tlem" — rep. filmowy;
21.35 „Bratysławska Lira 81" — koncert galowy;
ok. 22.35 Dziennik;
23.50 Studio festiwali krakowskich.

PROGRAM II

17.30 STUDIO-2;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.30 STUDIO-2.

TV BRATYSŁAWA

8.30 Pionierska Jaskółka
11.15 „Rejon na północy" (5);
12.30 VI Międzynar. Festiwal Kobiałczyk;
12.40 „Wielki pogromca" — film rad.;
14.30 Progr. sportowy;
14.55 ME w koszykówce mężczyzn: Izrael — CSRS;
17.00 Spotkanie w Pradze;
18.30 Wieczorynka;
18.40 „Przyjaciele Zielonej Doliny" (10);
19.30 Dziennik TV;
20.30 Telewariete;
22.10 „Człowiek w żelaznej masce" — film ameryk.

NIEDZIELA

PROGRAM I

6.20, 6.50, 7.20 TTR, RTSŚ;
7.00 „Nowoczesność w domu i zagrodzie";
8.10 „Emerytury dla rolników";
8.20 „Od słowa do działania" — progr. red. rolnej;
8.35 „Telewizjada";
8.55 Program dnia;
9.00 Teleranek TDC — w programie film z serii „Daktari";
10.30 „Antena";
11.00 „Wielkie miasta świata" — San Francisco — franc. film dok.;
12.00 Dziennik;
12.40 „Co dalej z koniem" — progr. red. rolnej;
13.10 Mity polskie — sarmatyzm;
13.40 Dla dzieci: „Kameleon";
14.10 Telewizyjny koncert życzeń;
14.55 Losowanie dużego lotka;
15.10 „Monitor sejmowy"
15.40 „W świecie dzikich zwierząt" — „zmysły służące przetrwaniu";
16.05 Motocrossowe mistrzostwa świata;
16.55 „Jak rodzą się mężczyźni" — Czechosłowacki film obycz.;
18.20 „Piosenki z trójki" — wyst.: Łucja Prus, „Alibabki", Seweryn Krajewski, Jacek Zieliński, Zbigniew Wodecki, Paweł Perliński, Jan Ptaszyn Wróblewski;
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.10 Buddenbrokowie;
21.00 18 studencki festiwal piosenki — koncert laureatów;
21.55 Sportowa niedziela;
22.55 „Pamiętnik zza kulis sceny" — Ryszarda Hanin;
23.15 Studio festiwali krakowskich.

PROGRAM II

8.05 Program dnia;
8.10 „Krótkofalowcy" — progr. wojsk.;
8.40 „Punkt widzenia" (6) — (powtórzenie z soboty);
9.40 „Przeboje tygodnia";
10.30 Teatr telewizji — Michał Bułhakow — „Molier czyli zmowa świętoszków";

TYLKO W NIEDZIELĘ

Na zamku książąt pomorskich w Szczecinie;
12.30 „Wiersz dla Ciebie";
12.40 „Spór o zamek";
13.10 Ogólnopolska giełda bibliofilów" (1);
13.25 Dla dzieci: „Przygoda z Piffem";
14.05 „Corso kwiatowe";
14.25 Regaty o puchar TWN (3);
14.30 Ostar 80;
14.45 „Sejm czwartego wymiaru czyli od magii do psychotechniki";
15.10 Regaty o puchar TWN (3);
15.15 „Fama na zamku";
15.45 Finał regat o puchar TWN;
15.56 „Jazz w zamku";
16.10 „Forum Szczecina";
16.40 Jan Kochanowski — „Odprawa posłów greckich";
17.15 „Dziwny cudzoziemiec" — rep. filmowy;
17.35 Giełda bibliofilów (2);
17.50 „Wiersz dla Ciebie";
18.00 „Stereo i w kolorze" — Piotr Miłoński — skrzypce;
18.30 Dziennik;
20.00 „Wiersz dla Ciebie";
20.05 „Carmen" — spektakl baletowy w wykonaniu solistów i zespołu teatru muzycznego w Szczecinie;
20.40 Klejnoty książąt pomorskich;
20.55 Bal zamkowy;
21.15 „Wiersz dla Ciebie" — pożegnanie ze Szczecinem;
21.20 Filmoteka narodowa — filmy Kamiłłowicza Kutza — „Ludzie z pociągu".

TV BRATYSŁAWA

8.20 Chodźcie z nami;
11.00 „Egzamin dojrzałości" (4);
12.25 Muzyka z Bratysławy;
15.25 Grand Prix Monako;
17.30 Pismo ma twoje oblicze;
17.55 M. Pavlik: „Tajemnica dziewiątego worka";
19.10 Wieczorynka;
19.30 Dziennik TV;
20.10 „Rejon na północy";
21.00 „Z notatnika myśliwskiego";
22.25 Przegląd ligowy.

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

13.00, 14.00 TTR, RTSŚ;
15.25 Program dnia;
15.30 NURT;
16.00 Dziennik;
16.15 Obiektyw;
17.30 „Czterej pancerni i pies" — „Tiergarten";
18.30 Wiersze dla dzieci — Aleksandra Fredry;
18.50 Dobranoc „Ja ci jeszcze pokażę";
19.00 „Echa stadionów";
19.30 Dziennik;
20.00 Rolnicze rozmowy;
20.10 Teatr telewizji — Calderon de la Barca „Księżniczka na opak wywrócona";
21.50 Aktualny program publicystyczny;
22.20 Rozmowy literackie;
22.40 Dziennik;
22.55 Studio festiwali krakowskich.

PROGRAM II

16.20 Program dnia;
16.25 Język rosyjski (11);
16.55 Język francuski (11);
17.25 Język angielski dla zaawans. (10);
18.00 „Wernisaż w Biłgoraju" — rep.;
18.25 Program rozrywkowy;
18.40 „Jak potok płynie czas" — rep.;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 Dzień tunezyjski w telewizji polskiej;
21.35 24 godziny;
22.40 Dzień tunezyjski w telewizji polskiej (cd.).

WTOREK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSŚ;
14.00 Wychowanie plastyczne kl. 3 — z Szymonem Kobylińskim spotkanie 10
12.50 Rodzina współczesna kl. 1 i 2 lic. — rodzina i prawo;
13.30, 14.00 TTR, RTSŚ;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.25 Program dnia;
16.30 „Telewizyjny klub seniora";
16.00 Dziennik;
16.15 Obiektyw;
16.30 „Magazyn rodzinny";
17.20 Polska Kronika Filmowa;
17.30 „Interstudio";
18.00 Telewizja młodych — magazyn C.D.N.;
18.30 Dobranoc;
19.00 „Camerata";
19.30 Dziennik;
20.15 Twój współczesny — „Mam 30 lat" radz. dramat psychologiczny;
23.05 Dziennik;
23.20 Studio festiwali krakowskich;
23.35 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

16.25 Program dnia;
16.30 Język rosyjski (12);
17.00 Język francuski (12);
17.30 Język angielski dla zaawansowanych;
18.00 Dla dzieci: kino TN „Przygody wokacyjne";
18.30 „W pracowni Stefana Gierowskiego";
19.00 Kronika (K.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Antyczny świat prof. Krawczuka" — „Rzymianie nad Eufratem";
20.20 „Wtorek melomana" — wieczór Brahmsowski;
21.30 24 godziny;
21.40 WIECZÓR FILMOWY — spotkanie z Jerzym Bezkowskim — „Ojcowie miasta" — pol. film dok. — „Zmienna ogniskowa" — pol. film dok.;

ŚRODA

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSŚ — matematyka, sem. 4
13.30, 14.00 TTR, RTSŚ;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.25 Program dnia;
15.30 NURT;
16.00 Dziennik;
16.15 Obiektyw;
16.30 Dla dzieci: „Michałki";
17.00 Losowanie małego lotka i express lotka;
17.10 Zapraszamy na targi Poznań 81;
17.30 Studio sport — finały w sn. juniorów Europy;
18.20 Klub dobrej książki,
18.50 Dobranoc;
19.00 „Wyspy Hiszpanii" — Cabera;
19.30 Dziennik;
20.00 Przed IX zjazdem partii — program publ.;
20.30 Śpiewa Dorota Pomykała;
21.10 Teatr telewizji — Józef Kuśmierek — „Superata";
22.00 „Horyzont" — „Czas Mitterranda";
22.30 Dziennik;
22.45 Studio festiwali krakowskich
23.00 Telewizja w sprawie miliardów

PROGRAM II

16.05 Program dnia;
16.10 Język rosyjski (13);
16.40 Język francuski (13);
17.10 Towarzystwo wiedzy powszechnej — „tajemnica sprawnego działania" (3);
17.40 „Zmienność gwiazd" węgierski dramat obycz.
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Świat na małym ekranie" (1)
21.05 24 godziny;
21.15 „Bomba środowiskowa" — prog. publ.
22.00 „Świat na małym ekranie" (2);

CZWARTEK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSŚ;
12.50 „Fiodor Dostojewski" film oświatowy;
14.00 TTR, RTSŚ;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.25 Program dnia;
15.30 „Turniej zastępowych";
16.00 Dziennik;
16.15 Obiektyw;
16.30 Czwartek TDC — pierwsza miłość — „Był sobie człowiek";
17.30 Informator turystyczny;
17.45 „Osadnictwo wojskowe" wojsk. prog. hist.;
18.15 Telewizja młodych przedstawia;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Sonda" — „Kaliber 6,5";
19.30 Dziennik;
20.15 „Spadkobiercy pani Burke" — irlandzki film kryminalny;
21.20 „Pegaz";
22.05 „Próby" — magazyn społeczno-ekonomiczny;
22.35 Dziennik;
22.50 Studio festiwali krakowskich;
23.05 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

16.25 Program dnia;
16.30 Język Rosyjski (14)
17.00 Język francuski (14);
17.30 Język angielski dla zaawansowanych;
18.00 Program męski;
18.30 „Szacunek dla chleba";
19.00 Kronika (Kr);
19.30 Dziennik;
20.00 NURT;
20.30 NURT;
21.00 NURT;
21.30 24 godziny;
21.40 „Portret z autografem" — Martin Riteman — tenor;
22.10 „Bez recept";
22.35 „Obrońcy" amerykański film kryminalny;

Za zmiany wprowadzone w ostatniej chwili redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

REPERTUAR KIN

(Przypominamy, że filmy szczególnie przez nas polecane są wyróżnione drukiem pogrubionym)

GORLICE: 28—31 Zamach stanu (polski, rekonstrukcja dokumentalna), 1—3 VI Narodziny gwiazdy (USA, dramat psychologiczny o piosenkarzach), 3—5 Bitwa i Midway (USA, batalistyczny); **GRYBÓW:** 30—31 Czarny korsarz (włoski, awanturniczy), 3—4 VI Zły duch Jambuja (radziecki, przygodowy); **KROŚCIENKO:** 29—31 Nosferatu-wampir (RFN, horror poetycki), 1—3 VI Przygoda arabska (brytyjski, przygodowy); **KRYNICA:** 29—1 VI Żandarm na emeryturze (francuski, farsa), 3—4 Drogi papa (włoski, społeczno-psychologiczny); **LIMANOWA:** 28—31 Bobby Deerfield (USA, psychologiczno-przygodowy), 3—3 VI Piraci XX wieku (radziecki, sensacyjno-przygodowy); **MSZANA DOLNA:** 28—31 Cena strachu (USA, sensacyjno-przygodowy), 2—3 VI Węgierska rapsodia (węgierski, dramat narodowy); **MUSZYNA:** 28—31 O jeden most za daleko (brytyjski, batalistyczny), 2—4 VI Ring (węgierski, sportowy); **NOWY SĄCZ — Kolejarz:** 29—31 Dubler (francuski, przygodowy); **NOWY SĄCZ — Krokus:** 29—31 Nosferatu-wampir (RFN, horror poetycki), 2—4 VI Podróż do Arabii (polski, dramat psychologiczny); **NOWY SĄCZ — Podhale:** 29—31 Rafferty i dziewczyny (USA, kontestatorski), 1—4 VI Marysia i Napoleon (polski, komedia kostiumowa); **NOWY TARG:** 30 V—3 VI Gangsterzy szos (kanadyjski, sensacyjny), 4—7 Indeks (polski, psychologiczno-społeczny); **PIWNICZNA:** 29—31 Manhattan (USA, komedia intelektualna), 2—4 Stepowy rumak (radziecki, przygodowy); **RABKA:** 28—31 Coma (USA, thriller medyczny), 2—3 VI Tango ptaka (polski, młodzieżowy); **STARY SĄCZ:** 30 V—1 VI Pustynia Tatarów (włosko-francusko-zachodnioniemiecki, dramat alegoryczny), 2—4 Akwanauci (radziecki, przygodowy); **SZCZAWNICA — Pieniny:** 29—31 Superpotwór (japoński, sensacyjno-fantastyczny), 2—4 VI Ofiara (węgierski, kryminalno-psychologiczny); **ZAKOPANE:** do 29 Indeks (polski, psychologiczno-społeczny), 29—31 Człowiek klanu (USA, sensacyjno-społeczny), 1—3 VI Trzęsienie ziemi (USA, katastroficzny).

Ponadto: **CZARNY DUNAJEC:** 29—31 Przełomy Missouri (USA, antywestern), **JABŁONKA:** 28—29 Aktorzy prowincjonalni (polski, psychologiczno-społeczny); **ŁABOWA:** 30—31 Dom pod czerwoną latarnią (węgierski, obyczajowo-psychologiczny); **SZCZAWNICA — Górnik:** 29 Lot na kukułczym gniazdem (USA, psychologiczno-społeczny dramat kontestatorski).

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz redakcji), Krzysztof Dybel (z-ca sekretarza redakcji), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Antoni Kroh, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Pałka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny), Stanisław Śmierciak (fotoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11. Telefony: 238-36, 238-80. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-29, 275-88 wewn. 238. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.

Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń ul. Wiślna 2. 31-007 Kraków, telefon: 270-89 oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch". Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23. 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657. F-8.

Eryk Lipiński o dzieciach

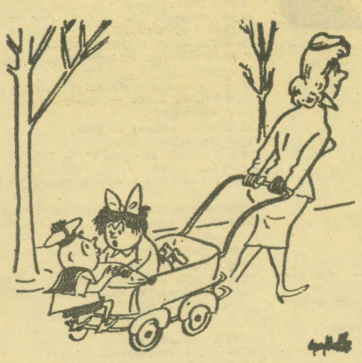

— Nie idź cały czas za mną, bo ona zacznie coś podejrzewać.

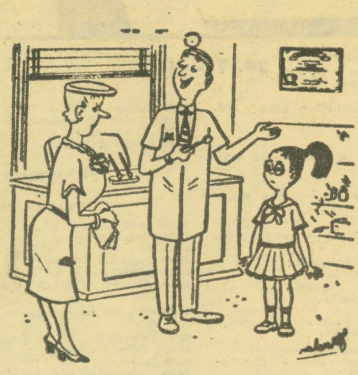

— Jej się nic nie stało z oczkami. Ma tylko za mocno ściągnięty koński ogon.

— Nie chce tatuś dać mi na kino? Dobrze! Będę opowiadał wszystkim sąsiadom, że wy nie macie ślubu...

CO SĄDZĄ DZIECI O MAŁŻEŃSTWIE

Dwojgu dzieciom — bratu i siostrze: siedmioletniej Emanuelli i dziesięcioletniemu Stefanowi zadano szereg pytań na temat, tego, co sądzą o małżeństwie swoich rodziców. Ich odpowiedzi zamieszczono w czasopiśmie „Constellation" bez komentarza.

Czy podoba się wam małżeństwo?
— *Nie.*
Dlaczego?
— *Ciągle się kłócą i kłócą...*
Czy wasi rodzice się kochają?
— *Nie bardzo.*
Co to znaczy kochać się?
— *To znaczy być miłym i dobrym.*
Czy twój ojciec jest miły?
— *Nie! Czasem...*
Czy być miłym, to znaczy mówić miłe słowa?
— *Nie tylko. Wtedy jest się miłym, gdy się rozumie drugą osobę. To nieładnie, gdy ludzie obejmują się i całują przy wszystkich.*
Czy rodzice są szczęśliwi?
— *Może, ale nie zawsze.*
Czy to jest normalne, że są momenty, w których oni się nie rozumieją?
— *O, tak. My też się czasem kłócimy.*
Czy lubisz, gdy rodzice się kłócą?
— *Nie lubię.*
Czy wasi rodzice kłócą się przy was?
— *Zawsze przy nas.*
Co wtedy chciałbyś zrobić?
— *Chce mi się płakać i chciałbym pójść sobie z domu...*
Czy wasi rodzice kłócą się podobnie, jak dzieci?
— *Nie, o wiele głośniej.*
Kto jest głową rodziny?
— *Tata.*
Czy znasz dom, gdzie mama jest głową rodziny?
— *W książce czytałem o takiej.*
Rodzice pracują; czy wolelibyście, aby mama była zawsze w domu?
— *Nie, bo mama wtedy ciągle na nas krzyczy.*
Co to jest rozwód?
— *To jest wtedy, jak się już nie kochają.*
Kiedy małżeństwo się już nie kocha, to lepiej, żeby się rozwiedli?
— *O, nie! Już lepiej niech się kłócą. Chcę, żeby byli w domu razem.*
Czy zauważyliście może, że rodzice podczas wakacji są inni?
— *Tak. Wstają później i są w dobrym humorze. W domu wstają bardzo wcześnie i przez to są źli.*
A czy śpią w swoich pokojach?
— *Czasem w swoich, a czasem razem. I potem się nie kłócą.*

Miali złe stopnie...

Znany psycholog amerykański, Victor Goetzel, przeprowadził analizę dzieciństwa 400 wielkich osobistości. Oto kilka jego odkryć:

EINSTEIN, mający 11 lat grał doskonale na skrzypcach Beethovena i czytywał Kanta, jednakże jego nauczyciele twierdzili, że jest opóźniony w rozwoju umysłowym.

MARCEL PROUST, jeden z największych stylistów w historii literatury, otrzymywał bardzo kiepskie stopnie z wypracowań na lekcjach francuskiego.

EMIL ZOLA, kilka razy dostał dwóję z literatury w liceum św. Ludwika.

CEZANNE nie został przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych, ponieważ jego rysunki uznano za zbyt słabe.

JACEK I OJCIEC

Jacek wrócił ze szkoły i ojciec każe mu pokazać dzienniczek.

— Niestety, pożyczyłem go Piotrkowi, bo chciał zdenerwować swego ojca.

CO WOLISZ?

— Synku, niedługo nasza rodzina powiększy się. Co byś wolał?

— Też pytanie. Przecież tata wie, że trzeba brać jak leci.

W SZKOLE

Syn przychodzi ze szkoły bardzo zmartwiony.

— Co ci się stało? — pyta ojciec.

— A bo się zagapiłem podczas rozdawania świadectw i wlepili mi najgorsze...

W DOMU

Oburzony Tadzio do matki:

— Dochodzę do wniosku, że codzienne mycie się wynalazł ten, kto nigdy nie był dzieckiem!

Dziesięć rad dla TATY

1. Radzę ci inaczej traktować nas, bądź co bądź — twoje dzieci. Budź nas rano delikatnie, a nie wyrzucaj brutalnie z łóżka.

2. Po powrocie z pracy, włącz się na chwilę do naszych rozmów i zabaw, jeszcze zdążysz wsadzić nos w gazetę.

3. Wystrzegaj się złych humorów.

4. Bądź miły dla mamy!

5. W niedzielę wybierz się z nami za miasto; zajdź z nami do kawiarni, zafunduj mamie kawę i ciastko, a nam — lody.

6. Gdy mi się zdarzy jakiś wypadek, np. gdy grając w piłkę zbiję szybę u sąsiadów — ty mnie za to nie bij: przecież od tego szyba się nie sklei.

7. Gdy widzisz, że my dzieci sprzeczamy się między sobą, nie rób z tego tragedii; możesz nas co prawda skrzyczeć, ale krótko, uważając przy tym, żebyś nie skrzywdził żadnego z nas.

8. Pamiętaj tato, że nie kupuje się roweru po to, żeby stale stał w piwnicy.

9. Nie wyłączaj się z mycia naczyń po obiedzie, my także nie lubimy zmywać tłustych garnków i talerzy.

10. Nie pracuj w godzinach nadliczbowych, wracaj wcześniej do domu; nam dzieciom bardziej zależy na tobie niż na twoich pieniądzach.

— No, tak, około...

„Grazia"

Dwója z geografii

Jak wykazał sondaż, przeprowadzony niedawno przez szereg instytutów naukowych w środowisku młodzieży trzech krajów — Francji, Wielkiej Brytanii oraz Republiki Federalnej Niemiec, największe zainteresowanie nauką języków obcych wykazali młodzi Francuzi w przeciwieństwie do rówieśników z Wielkiej Brytanii i Republiki Federalnej Niemiec. Natomiast znacznie gorzej przedstawia się sprawa znajomości geografii, w której to dziedzinie Francuzi dali się zdystansować swym rówieśnikom z innych krajów.

Czy bić?

Co trzeci Szwajcar jest za stosowaniem kar cielesnych jako metody wychowawczej dzieci. 32 procent ankietowanych w tej sprawie stwierdziło, że nie uważa, aby to było szkodliwe dla psychiki dziecka. 60 procent wypowiedziało się przeciw, 8 procent nie miało zdania. Wśród zwolenników bicia większość stanowią osoby średniego i starszego pokolenia, a ponadto są to osoby należące do zamożnych grup społecznych. Ludzie młodzi natomiast stanowili przeważającą większość wśród przeciwników kar cielesnych.

Plaga wagarów

Co czwarty brytyjski uczeń jest wagarowiczem, przy czym często nieobecność w szkole następuje za wiedzą i zgodą rodziców. Brytyjskie władze oświatowe są zaniepokojone lekceważeniem dyscypliny szkolnej. Jak się przewiduje, sytuacja zaostrzy się, po wprowadzeniu nowych wyższych opłat za dojazdy uczniów do szkoły.